M.B.

W numerze: WIESŁAW JAŻDŻYŃSKI *„Ktokolwiek będziesz w Nowogródzkiej stronie...”* ● KAROL BADZIAK *Optyk i zaćma* ● RYSZARD BINKOWSKI *Pomiarówka Helenka* ● *Jaki pan, taki kram...* ● *Zewsząd o wszystkim* ● *Konkurs* ● *Nowela*

odgłosy

20. (704)
16. V. 1971 r.
Cena 1.50 zł

TYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY ROK XIV

ODEBRANO WAM ŻYCIE - DZIŚ DAJEMY WAM TYLKO PAMIĘĆ
9 - V - 1971 - ŁÓDŹ - ODSŁONIĘCIE POMNIKA MARTYROLOGII DZIECI

Projekt: PAWEŁ UDOROWIECKI (Łódź)

★ ★ ★

Ze wszystkich zbrodni, których w naszym kraju dokonali hitlerowcy — ta była z pewnością najbardziej wyrafinowana i okrutna. Nie ma w cywilizowanym świecie prawa. które pozwalałoby odebrać dziecku matkę i ojca, a oni odebrali. Otoczyli polskie dzieciństwo kolczastym drutem, w bramie postawili karabiny maszynowe. Cywilizowany świat nie zna prawa, które zabrania ojczystej mowy, a oni zabronili małemu dziecku mówić językiem matki. Prawo umarło przed bramą obozu, jedynego w swoim okrucieństwie obozu — Polen Jugendverwahrlager der Sicherheitspolizei in Litzmannstadt.

Wzdłuż ulicy Przemysłowej ciągnęło się prawdziwe piekło. Stworzyli je ludzie, wybitni specjaliści, skopiowali to piekło z gotowych wzorów, wcześniej istniały już obozy w Dachau, Ravensbrueck, czy Oranienburgu. Ale to były lepsze obozy w odczuciu dzieci. Wiele z nich przysłano do Łodzi z Oświęcimia, Majdanka, z więzień na Pawiaku czy Montellupich, a jednak ci, którzy ocaleli, stwierdzali jednoznacznie — Oświęcim był lepszy, Majdanek był lepszy. Dzieci, małe, bezradne dzieci, mogły liczyć w tamtych obozach na pomoc dorosłych. Tu, w Łodzi, zostawały same w obliczu dorosłego i okrutnego człowieka, bez reszty zdane na jego łaskę i niełaskę. SS-man i bezbronne dziecko, otoczone drutem, pilnowane przez psy. Wyobraźnia dziecka zdolna jest tworzyć fantastyczne światy i mogą się w tych dziecinnych światach pojawiać potwory, wzięte z zasłyszanych bajek, przecież jednak najbardziej wybujała wyobraźnia blednie wobec tego, co potrafili wymyśleć dla dzieci uzbrojeni, dorośli ludzie.

Dziś ten pomnik świadczy o męczeństwie dzieci. Ale nie tylko. Dana jest nam instytucja pamięci i właśnie dzięki niej nie możemy zapomnieć.

ANDRZEJ GRUN

CO BĘDZIE Z TYM PLACEM?

Kształt ośmioboku nie jest typowy dla centralnych placów. Spotyka się go stosunkowo rzadko. Jest plac o takim kształcie w starej części Kopenhagi, Można spotkać ośmioboczne rynki w górniczych osadach na Śląsku — promienisty układ ulic gwarantował szybką komunikację. Łódzki ośmioboczny Nowy Rynek. nazwany w XX-leciu międzywojennym placem Wolności, wyznaczony został w latach 1821-23 podczas pierwszych prac, związanych z regulacją Nowego Miasta, wyrosłego z Osady Sukienniczej. Pierwszymi budowlami, które stanęły na Nowym Rynku był Ratusz, oddany do użytku w 1827 roku i kościół ewangelicki stawiany w latach 1827-28 przez architekta Duerringa w stylu klasycznym, przerobiony potem przez Otto Gehlinga (1890-91) w konwencji neoromańskiej i na planie greckiego krzyża. Nowy Rynek szybko stał się centralnym

Dalszy ciąg na str. 3

STEFAN PRAŻMOWSKI

Wesele na zgliszczach

Ksiądz już teraz nie będzie nas musiał straszyć piekłem — mówią w Spicimierzu po ostatnim pożarze. — My piekło przeżyliśmy za życia. Ogień szalał po wsi jak opętany. Sąsiad biegł na pomoc sąsiadowi, a gdy wracał, zastawał na miejscu swego domu zgliszcza. Ludzie wynosili z płonących chat dobytek i chowali go w oborach i komórkach, a tymczasem komórki i obory spłonęły, a chaty straż uratowała. Na 61 zniszczonych obiektów spłonęło tylko 10 budynków mieszkalnych. Ogień rozprzestrzeniał się bez żadnej logiki i porządku. pozostawiał w spokoju sąsiedzką strzechę, przeskakiwał siedem słomianych stodół, a pożerał nieoczekiwanie ósmą, zdawało się bezpieczną.

Trzeba wiedzieć, że Spicimierz jest wioską wielce nietypową, gospodarstwa są rozproszone w leśnym zagajniku, do każ-

Dalszy ciąg na str. 3

ZE ŚWIATA

ZE ŚWIATA

W zmniejszających się odstępach czasu dochodzi do kryzysów walutowych na Zachodzie. Miniony tydzień przyniósł znów gorączkę spekulacyjną, którą londyński „Time" zilustrował na czołowej stronie w sposób lapidarny — zamieścił reprodukcję banknotu 1-dolarowego pisząc na nim wartość. 73 centy. Co się znów stało, że kryzys walutowy wybuchł z nową mocą?

Według źródeł amerykańskich — bezpośrednim powodem jest masowa wymiana dolarów na waluty zachodnioeuropejskie, a przede wszystkim marki NRF. Banki zachodnioniemieckie w ciągu pewnego czasu skupiły setki milionów dolarów, a następnie bez wyjaśnienia przyczyn — zakup ten przerwały. Motywem zaś tego działania jest przekonanie, że wartość dolara jest zawyżona w stosunku do wartości marki i że w tej sytuacji musi dojść do kolejnej rewaluacji waluty zachodnioniemieckiej. Przekonanie to bierze się z pogłębiania ogromnego deficytu płatniczego Stanów Zjednoczonych. „Waszyngton — pisał „New York Times" — żyje w coraz większym stopniu na kredyt, zaciągany wśród swoich atlantyckich partnerów". Zamykając pewnego dnia okienka kas w bankach NRF dla wymiany dolara — w praktyce dano do zrozumienia, iż Niemcy zachodnie nie chcą już dłużej udzielać tego kredytu.

W krajach EWG panuje, co więcej, przekonanie, że nadmierny napływ dolarów do zachodniej Europy i wymiana ich na walutę danego kraju zwiększa jej podaż, prowadząc do inflacji. — Podnieście więc u siebie, w Stanach Zjednoczonych — doradzają — oprocentowanie w bankach, a wówczas nie będzie się opłacało wywozić dolarów do Europy. Cóż, kiedy USA z uwagi na aktywizację swej gospodarki zainteresowane są akurat przeciwnym procesem — obniżaniem stopy dyskontowej. I w tym właśnie punkcie następuje zasadnicza rozbieżność między interesami USA i ich europejskich partnerów. Od tych ostatnich Waszyngton oczekuje nie porad, lecz czynów: zaprzestania ograniczeń importowych ze Stanów Zjednoczonych oraz zwiększenia wkładu w wydatki na obronę Europy.

Nietrudno dostrzec, że rozbieżności te wykraczają poza kryzys walutowy i dotyczą zagadnień gospodarczo-politycznych.

O następstwach obecnego kryzysu „Newsweek" pisze: „Nawet jeśli będzie można znaleźć sposób powstrzymania pogłębiającego się podziału w atlantyckiej wspólnocie i utrzymać system podstawowej współpracy — będzie to system, w którym USA grać będą rolę j e d n e g o z partnerów... Proces zmiany już się rozpoczął".

Pozostawmy jednak te kłopoty USA i ich sojusznikom i poświęćmy nieco uwagi decyzjom XVI plenarnego posiedzenia KC SED. Jak wiadomo, na plenum tym Walter Ulbricht zrezygnował, z uwagi na wiek i związany z tym stan zdrowia, z funkcji I sekretarza. Plenum wybrało go przewodniczącym partii, I sekretarzem został Erich Honecker. Zmiana ta przez szereg dni była tematem licznych komentarzy w prasie zachodniej. Zabrali też głos: burmistrz Berlina zachodniego — Schuetz oraz rzecznik rządu bońskiego — Ahlers. Ten ostatni odrzucił wezwanie nowego szefa SED do ratyfikacji układów moskiewskiego i warszawskiego — raz jeszcze wiążąc ją z zadowalającym postępem rozmów na temat Berlina. Z przemówienia Honeckera wyciągnięto w NRF „złą wróżbę" dla negocjacji czterech ambasadorów, uznając, że było ono „twarde w tonie". Tymczasem odbyło się kolejne — już dziewiętnaste — spotkanie przedstawicieli wielkiej czwórki, po którym amb. Abrasimow powiedział dziennikarzom: „zrobiono krok naprzód", a amb. Rosh (Stany Zjednoczone) określił je jako „pożyteczne". Słowa te zasługują na odnotowanie, ponieważ wiadomo, iż ambasadorowie omawiali poszczególne punkty projektów porozumień przedłożonych przez obie strony. Zwraca uwagę również fakt, że kolejne spotkanie odbędzie się już 25 maja, a czas poprzedzający je będzie wykorzystany na konsultacje ekspertów czterech mocarstw.

W tym czasie przebywający z wizytą w Moskwie francuski minister spraw zagranicznych — M. Schumann stwierdził, że porozumienie w sprawie Berlina zachodniego nie jest niemożliwe i że właśnie w czasie jego rozmów wyjaśnione zostały różne aspekty tego problemu.

Skoro już wspomnieliśmy o tej wizycie — podkreślmy, że była ona bardzo owocna. Min. Schumann ustosunkował się do kilku najważniejszych problemów. I tak: potwierdził zainteresowanie Francji europejską konferencją na temat bezpieczeństwa i współpracy, dodając, że trzeba aktywnie poszukiwać dróg, sprzyjających realizacji tej koncepcji, wypowiedział się za zorganizowaniem konferencji przedstawicieli pięciu mocarstw nuklearnych, którą to ideę wysunął Leonid Breżniew na XXIV Zjeździe KPZR, dał wyraz przekonaniu, że układy ZSRR i Polski z NRF stanowią istotny czynnik umocnienia pokoju w Europie i doczekają się ratyfikacji, podkreślił niezbędność regulowania wszystkich konfliktów w drodze rokowań...

Do pokojowych rozstrzygnięć i ratyfikacji układów nawiązał również w swym katowickim wystąpieniu — z okazji Powstania Śląskiego i rocznicy zwycięstwa nad faszyzmem — premier P. Jaroszewicz. Podkreślając, że w stosunkach z NRF mamy pewien postęp, przestrzegł on tych, którzy sądzą, iż może to zastąpić ratyfikację układu. Czas — zaakcentował — rozpocząć procedurę ratyfikacyjną zarówno w stosunku do układu moskiewskiego, jak też zawartego z Polską. Kanclerz Brandt, który wielokrotnie składał deklaracje gotowości znormalizowania stosunków z krajami socjalistycznymi — powinien tę gotowość udowodnić praktyką. Ratyfikacja układu z Polską torowałaby drogę stosunkom dyplomatycznym i pełnej normalizacji.

W. SŁAWSKI

Sasebo

„MAINICHI DAILY NEWS" — TOKIO

„Panie i panowie, przekazuję wam moje wrażenia z przystani portu Sasebo... W tej chwili zbliża się do nabrzeża okręt wojenny... Flagę ma opuszczoną do połowy masztu"... Głos amerykańskiego spikera brzmiał żałobnie. Reportaż radiowy dotyczył stawiacza min „Henry Tacker", który właśnie zawijał do amerykańskiej bazy wojennej w Japonii. Na jego pokładzie znajdowały się zwłoki amerykańskich lotników z dwóch samolotów szpiegowskich USA, strąconych w kwietniu 1969 roku nad Północną Koreą.

Incydent ten miał szeroki wydźwięk międzynarodowy. Stany Zjednoczone, podobnie jak to miało miejsce dwa lata przed tym incydentem (kiedy postradały one statek szpiegowski „Pueblo"), zmasowały na Morzu Japońskim potężne siły morskie: dwadzieścia okrętów wojennych, tworząc w tym rejonie świata sytuację wybuchową. Centrum koordynacyjnym tej demonstracji wojennej — znów stał się port Sasebo.

Podkreślając strategiczne znaczenie Sasebo, amerykańscy eksperci wojskowi już w 1967 roku poinformowali Kongres, iż Stany Zjednoczone nie mogą planować operacji wojennych w Azji Południowo-Wschodniej bez posiadania baz morskich Sasebo i Yokosuka w Japonii. Dysponując głęboką, naturalną przystanią, port Sasebo był ważny dla Amerykanów przede wszystkim dlatego, iż leży zaledwie o 416 kilometrów od Korei Południowej i 900 kilometrów od Chin. W bazie tej stacjonuje 13 okrętów wojennych USA. Na terenie o powierzchni 400 hektarów rozmieszczono 800 obiektów wojskowych. Wojskowa załoga bazy oraz członkowie jej rodzin liczą ogółem 4450 osób.

Dziś baza Sasebo przeżywa okres tzw. „racjonalizacji". W porcie wre praca nad pogłębianiem dna i budową nowych przystani, zdolnych do przyjęcia okrętów o wielkiej wyporności. Magazyny paliwa o pojemności 620 tysięcy ton benzyny przekazano niedawno do dyspozycji dowództwa wojskowych sił morskich USA. W związku z zakończeniem tych robót zwolniono z pracy wielu robotników japońskich. Do portu wprowadzono dwa pływające doki remontowe oraz tankowiec.

Obecnie, kiedy amerykańsko-japońskie „porozumienie w sprawie bezpieczeństwa" zostało automatycznie przedłużone, liczba obiektów wojskowych USA w Japonii będzie nieco zredukowana, ale faktem jest, iż pozostaną one nadal w tym kraju, co oznacza, że pozostanie także przyczyna licznych „tarć". Ludności Sasebo nie odpowiada rola przydatku do amerykańskiej bazy wojennej, gdyż chce ona widzieć swoje miasto portowe, jako rozwijający się ośrodek handlowy.

Spośród mnóstwa problemów związanych z lokalizacją bazy amerykańskiej w Sasebo, wysuwa się na czoło trudny do rozwiązania problem zatrudnienia robotników, zwolnionych z pracy w bazie. Setki ich znalazły się już na bruku. Ponadto żaden z 2700 robotników zatrudnionych jeszcze w bazie nie wie, co oczekuje go jutro. Sytuacja jest tym więcej skomplikowana, iż w mieście, praktycznie rzecz biorąc, nie ma przedsiębiorstw przemysłowych.

Jeszcze jednym źródłem nieustannego rozdrażnienia ludności w Sasebo jest podporządkowanie Amerykanom japońskiej jurysdykcji przy rozstrzyganiu spraw o przestępstwa, dokonywane przez wojskowych amerykańskich. Liczba incydentów w Sasebo, których sprawcami są wojskowi amerykańscy, stale rośnie. W 1969 roku wytoczono przeciwko Amerykanom 129 spraw o przestępstwa kryminalne, tj. o 55 procent więcej, niż w roku poprzednim. Według danych policji japońskiej, 80 procent sprzedawanej w kraju marihuany wpływa, dosłownie wpływa przez Sasebo.

Ta amerykańska enklawa przynosi wiele szkód miejscowej ludności. Rozpylane na terenie bazy środki chemiczne, niszczące chwasty, niszczą również pobliskie pola ryżowe. Wody morskie w promieniu wielu kilometrów od portu są zatłoczone okrętami wojennymi, co z kolei utrudnia, lub wręcz uniemożliwia rybołówstwo.

Albo... Rejon Akadzaki-To. Godzina siódma rano. Wielu mieszkańców miasta jeszcze śpi. Nagle rozlega się potworny huk, od którego drżą domy. To „dźwiękobombardowanie" trwa dwadzieścia minut. Po ósmej znów to samo... Ogłuszający ryk wydają silniki samolotów odrzutowych jednego z amerykańskich lotniskowców. I tak jest dwa razy w miesiącu, kiedy lotniskowiec wpływa do portu i pozostaje w nim przez tydzień.

Któregoś dnia japoński rolnik Cumotu Yamada, zamieszkały w Mijanoura, przyszedł na swoją działkę ryżową, żeby ją pleć i stanął jak wryty, nie wierząc własnym oczom: listki roślin pożółkły i zwisały martwo. Ten sam los spotkał wszystkie inne okoliczne poletka ryżowe, zraszane wodą z kanału, płynącego przez teren amerykańskich magazynów wojskowych w Hario. Wkrótce po tym wydarzeniu Yamada dostał na nogach dokuczliwej wysypki...

Dopiero po upływie czterech miesięcy amerykańskie władze wojskowe przyznały, iż przyczyną tego bolesnego podrażnienia skóry, które dotknęło Yamadę oraz innych 26 rolników, był silnie żrący środek chemiczny, rozpylany w magazynach. Amerykanie zobowiązali się do nieużywania tych niebezpiecznych środków chemicznych, jednakże wkrótce potem zaczęli je rozpylać od nowa.

Funkcjonowanie bazy przynosi najwięcej szkód miejscowym rybakom. Dowództwo amerykańskie zajęło im 90 procent terenów rybackich. Ale i w dozwolonej „strefie swobodnego rybołówstwa" nieustannie kursują okręty wojenne, uniemożliwiając połowy.

Ruch protestacyjny, skierowany przeciwko obecności bazy amerykańskiej w Sasebo rozwinął się już w 1963 roku, przed wizytą amerykańskiej podwodnej łodzi atomowej „Dragon". Komuniści i socjaliści rzucili wtedy hasło: „Nie chcemy nowego chrztu atomowego". Przez pięć lat Sasebo burzliwie protestowało przeciwko zawinięciu do portu drugiej amerykańskiej podwodnej łodzi atomowej. Masowe demonstracje, organizowane przez ugrupowania lewicowe, odbywały się również w okresie zbliżającej się daty „automatycznego przedłużenia japońsko-amerykańskiego porozumienia w sprawie bezpieczeństwa".

Żądając likwidacji tej amerykańskiej bazy wojennej, mieszkańcy Sasebo walczą równocześnie o stworzenie perspektyw rozwojowych dla swego miasta. W szczególności komuniści dążą do przekształcenia go w centrum handlowo-morskie, z którego mogłyby iść w szeroki świat perły, ceramika i morskie produkty żywnościowe. Nie wiadomo jednak, czy i kiedy spełnią się te marzenia mieszkańców Sasebo. Rzecz bowiem w tym, iż własne plany rozwoju Sasebo ma także japoński resort wojskowy, zainteresowany przede wszystkim obiektami militarnymi bazy.

Siły morskie Japonii w wojskowym okręgu Sasebo liczą 22 okręty plus personel cywilny w liczbie tysiąca ludzi. Stanowi to szóstą część całej japońskiej wojennej floty morskiej. Od niedawna dość często odwiedza dowództwo amerykańskie w Japonii wysoki oficer japońskich sił morskich. Zabiega on o zgodę Amerykanów na wspólne użytkowanie magazynów amunicyjnych w Chario. Wojskowi japońscy chcieliby także przejąć w swe ręce składy benzyny i stocznie w Tategami.

Wszystko to odbywa się zgodnie z aktualnym kursem naczelnika urzędu obrony narodowej Japonii, Jasuchiro Nakasone, który dąży do stopniowego przejmowania amerykańskich baz wojennych przez swój resort. Amerykański ambasador w Japonii, podtrzymując zabiegi Nakasone, zaproponował, aby amerykańscy i japońscy eksperci wojskowi przystąpili do opracowania konkretnego planu przekazania Japończykom amerykańskich obiektów wojskowych.

Mieszkańcy Sasebo z niepokojem śledzą aktywność japońskich władz wojskowych, obawiając się, iż „wspólne użytkowanie" obiektów bazy będzie równoznaczne z trwałą okupacją miasta i portu. Gdy tylko Nakasone ogłosił swój program, mer Sasebo, Itidzo Cudzi, wystąpił z ostrym protestem: „Jeśli departament wojskowy zostanie gospodarzem bazy — powiedział Cudzi — przekreśli to od dawna już opracowane plany rozwoju ekonomicznego miasta".

Na niedawnej wspólnej konferencji samorządów miejskich Sasebo, Kure, Maizuri i Jokosuka, miast, w których znajdują się amerykańskie bazy wojenne, uchwalono rezolucję, w której żąda się przekształcenia tych miast w miasta służące sprawie pokoju.

Skarby Inków w niebezpieczeństwie

„AFTENBLADET" — SZTOKHOLM

Pierwszymi „czynnościami" hiszpańskich konkwistadorów, kiedy wylądowali w Ameryce Łacińskiej w początkach XVI wieku, były grabieże miast i mordowanie Indian. Jednakże największego bogactwa Inków — złota — cudzoziemcy całkowicie zagrabić nie zdołali. Inkowie zdążyli je ukryć w dżungli, zabierając też do grobu tajemnicę kryjówki, w której, jak się przypuszcza, spoczywa ponad pięć tysięcy ton tego drogocennego kruszcu.

Szwed, Stellan Meerner, usłyszał tę historię po raz pierwszy, będąc dzieckiem i od tego czasu opanowała go pasja odszukania kryjówki Inków.

W 1955 roku Meerner, z zawodu inżynier, przybył do Meksyku i tam już pozostał. Tutaj wpadła mu do ręki książka R. Bromberga o fascynującym tytule: „Złoto, które trzeba znaleźć". Po przeczytaniu jej postanowił poważnie zabrać się do odszukania ukrytego skarbu. Pięć lat strawił na przygotowania, nim udał się do do Ameryki Południowej. Była to pierwsza podróż, która zapoczątkowała długie polowanie na złoto.

Obecnie Meerner przygotowuje się do następnej, trzynastej z kolei ekspedycji, która już niedługo wyruszy do Ekwadoru. Właśnie tam — jak sądzi — znajdzie to, czego tak długo szuka.

„Wcale nie jestem marzycielem, jak sądzą niektórzy — mówi o sobie poszukiwacz skarbu. — Niedawne informacje w prasie, że jakoby już odnalazłem złoto, są wyssane z palca. Wymysłem jest także doniesienie prasowe pod szumnym tytułem „Znaleziono złoto!", zamieszczone ostatnio w gazetach szwedzkich. Niemniej udało mi się dokonać ważnego odkrycia: Znalazłem złoty piasek na dnie strumyka, naniesionego na starą mapę hiszpańską, na której oznaczono również hipotetyczne miejsce kryjówki. Wynika z tego, że jestem już bliski celu. Sądzę, iż w tym roku odnajdę wreszcie tak długo poszukiwane złoto Inków".

Na pomyślne rozwiązanie tej zagadki czeka nie tylko Meerner. Marzą o tym również jego liczni wspólnicy ze Szwajcarii, Francji i Szwecji, którzy finansują ekspedycję. W razie sukcesu podzielą oni pomiędzy siebie czwartą część złotych „trofeów". Tyle również otrzyma Meerner. Do pozostałej części, ocenianej na setki milionów dolarów, pretenduje Ekwador.

CO BĘDZIE Z TYM PLACEM?

Dalszy ciąg ze str. 1

placem miejskim w rzeczywistym tego słowa znaczeniu. Ulokowała się tu apteka, hotel, szkoła średnia, zakład fotograficzny, no i oczywiście cukiernia — miejsce spotkań inteligencji łódzkiej. Od roku 1863 zaczęły odbywać się na Rynku targi. Ratusz, jak przystało, służył za siedzibę władz miejskich. Nareszcie w 1930 roku został odsłonięty na placu pomnik Kościuszki dłuta Mieczysława Lubelskiego, pomnik, który szybko wrósł w pejzaż miejski, stał się jego integralnym składnikiem.

Nowy Rynek, późniejszy plac Wolności, to nie tylko centralny punkt miasta — to również historia. Na tymże Rynku nadano 23 czerwca 1841 roku miastu Łodzi prawa gubernialne. Jeszcze wcześniej był on świadkiem pierwszej większej manifestacji chłopów i mieszczan łódzkich w grudniu 1830 roku przeciw antypowstańczym akcjom Niemców. Od tego czasu historia nie omijała placu. W nocy 31 stycznia 1863 roku zatrzymał się tu pierwszy w Łodzi oddział powstańczy, zarekwirował pieniądze z kasy miejskiej w Ratuszu, zabrał broń Towarzystwu Strzeleckiemu i odjechał w kierunku Łęczycy. Potem przyszły „bunty łódzkiego proletariatu" — w styczniu 1905 roku manifestacja antywojenna na Nowym Rynku, demonstracja lutowa w 1918 roku, demonstracja dziesięciu tysięcy bezrobotnych robotników przed Magistratem we wrześniu 1919 roku, zakończona salwami żandarmerii do tłumu, w wyniku których pięciu demonstrantów poniosło śmierć, a czterdziestu siedmiu odniosło rany. Rok po roku przez plac Wolności przechodziły pochody 1-majowe. 3 września 1939 roku plac był świadkiem patriotycznej demonstracji antyniemieckiej. Zrozumiałe więc, że Niemcy wkrótce po zajęciu Łodzi zniszczyli pomnik Kościuszki (11 listopada 1939 r.). Najnowszą historię w dziejach placu wpisały w styczniu 1945 roku pierwsze radzieckie czołgi. W 15-lecie PRL, 21 lipca, stanął, w obecności 50.000 łodzian, na swoim dawnym miejscu pomnik Kościuszki...

Tych kilka faktów nie wyczerpuje historii placu. Przytoczone tu zostały, aby wykazać, że plac Wolności to nie tylko kilka mniej lub bardziej zabytkowych gmachów, to nie tylko centralny plac — to także dzieje miasta i jego mieszkańców, zdarzenia godne pamięci, miejsce walk leżących u podstaw dnia dzisiejszego. W toczącej się dyskusji nad przyszłym obliczem placu Wolności pod uwagę muszą więc być wzięte nie tylko sprawy architektoniczno-urbanistyczne, nie tylko racje konserwatorskie, ale też związki emocjonalne i historyczne.

Wiadomo, że na placu Wolności stoi kilka budowli uznanych za zabytkowe. Są to: Ratusz, kościół, muzeum, dom z apteką, jatki Marconiego, a raczej to co z nich zostało. Praktycznie biorąc prawie cała północna zabudowa placu nie przedstawia żadnej wartości artystycznej, a będąc w złym stanie technicznym, nadaje się jedynie do rozbiórki. Tak więc mamy dwie strefy, z których południowa, otwierająca ulicę Piotrkowską, musi być zachowana w całości, a północna zastąpiona czymś innym. Pytanie: czym? Dotychczasowe konkursy i projekty architektoniczno-urbanistyczne na zabudowę tej części placu Wolności nie przyniosły żadnych sensownych rozwiązań. Były opracowywane w oderwaniu od historii, od strefy zabytkowej, przy całkowitym niezrozumieniu funkcji, jakie centralny plac winien spełniać w takim zespole urbanistycznym jakim jest Łódź. Każdy rodzaj restauracji czy odbudowy kamienic vis a vis Ratusza i kościoła wydaje się nie mieć racji bytu. Bezstylowe kamienice nadeży rozebrać, a na ich miejsce postawić architekturę, która będzie korespondowała swoim wyglądem z częścią zabytkową. Innymi słowy, trzeba znaleźć współczesny odpowiednik dla klasycystycznego Ratusza i neoromańskiego kościoła. W żadnym wypadku nie można stawiać na północnym obrzeżu placu pseudonowoczesnych bloków mieszkalnych, ą tym bardziej wieżowców. Bo poza innymi czynnikami, architektura całego placu i pomnik, stojący w jego centrum wyznaczają skalę tej architektury, ograniczając ją do trzech pięter — a biorąc pod uwagę usytuowanie jej w planie miasta — na mieszkaniówkę jest to za mało, oznacza po prostu marnotrawstwo terenu. Poza problemem, jaka powinna być nowa architektura, wyłania się problem, co winna w sobie mieścić. Wiadomo, że w Muzeum będzie muzeum. Wiadomo, że są propozycje, aby w Ratuszu stworzyć Muzeum Historii Miasta. Wiadomo też, że apteka i podcienia zostaną zachowane. Co z resztą? Jedno jest pewne — na placu Wolności nie ma miejsca na budownictwo mieszkaniowe. Może tu być galeria sztuki, punkt sprzedaży dzieł sztuki „DESA", pamiątkarstwo, stała wystawa wyrobów cepeliowskich, pracownie dla plastyków, kawiarnie, stylowa restauracja, probiernia wina w piwnicach Ratusza na przykład, „Orbis", PTT-K, biuro LOT, itp., itd., ale nie mieszkania. Tym bardziej, że istnieje projekt likwidacji ruchu kołowego w obrębie placu i wzdłuż ulicy Piotrkowskiej. Tym bardziej, że zabudowa północna otwiera strefę Starej Łodzi, w skład której wchodzi ulica Ogrodowa z dawnym pałacem Poznańskich i modrzewiowy kościołek św. Józefa, unikalna architektura przemysłowa Zakładów im. Marchlewskiego, park i Starówka i w związku z tym należałoby pomyśleć o komunikacji z tymi właśnie obiektami. Do rozbiórki kwalifikują się również zaplecza domów aż do ul. Północnej. Oczyszczenie tego terenu umożliwiłoby wytyczenie pasaży rozchodzących się promieniście od placu, a dalej — wzdłuż starego łożyska rzeki Łódki.

Z kamienicami na północnej stronie placu nie łączą nas też żadne więzy natury emocjonalnej. Wśród budowniczych i właścicieli nie znajdziemy żadnego polskiego nazwiska. Domy te należały do klasy średnio bogatych mieszczan. Z początku dwupiętrowe, były z czasem nadbudowywane, daremnie jednak doszukiwalibyśmy się tam śladów jakiegokolwiek stylu. Jeżeli jednak projektanci upierać się będą przy koncepcji zastąpienia tych domów blokami-pudełkami, to doprawdy o wiele lepiej będzie, jeżeli domy istniejące zostaną poddane modernizacji i ostaną się na swoim miejscu. Takie postawienie sprawy zwolni architektów od myślenia, a konserwatorowi zabytków rozwiąże ręce.

Dyskutując więc nad kształtem placu Wolności, trzeba znaleźć odpowiedź na dwa pytania: co ma się dziać na tym placu i jaka musi być architektura, aby współgrała z częścią zabytkową. Łódź ma szanse stania się miastem odwiedzanym przez turystów. Tego rodzaju perspektywa zobowiązuje. Nie wystarczy odnowienie samych kamienic wzdłuż ulicy Piotrkowskiej, nie wystarczy oczyszczenie zaplecza tychże kamienic. Turystyka wymaga pewnych instytucji usługowych i o nich dziś już trzeba pomyśleć. Różnymi sposobami można stworzyć taki klimat, w którym architektura secesji i eklektyzmu będzie czuła się dobrze, a jednocześnie mieszkaniec tej architektury będzie mógł żyć normalnie, swobodnie krzystając z wszelkich usług nowoczesnego miasta.

ANDRZEJ GRUN

Wesele na zgliszczach

Dalszy ciąg ze str. 1

dego prowadzi oddzielna ścieżka, tworząc osobliwy labirynt. Łatwo tu wjechać, nie sposób się stąd wydostać bez pomocy miejscowych.

Tego fatalnego dnia dął silny wiatr północny. Żar sześćdziesięciu płonących strzech powodował dodatkowo lokalne wiry powietrza. Porywały one z dachów ogniste płomienie, wielkości średniego wagonu tramwajowego i niosły górą na odległość 100—150 metrów. Tworzyły się niesamowite sytuacje. Pierzyny wynoszone z mieszkań zapalały się w rękach i ulatywały w powietrze jak pochodnie. Latające nad wioską gołębie zamieniały się błyskawicznie w ogniste race i łukiem spadały na ziemię w postaci garstki popiołu. Ogień pochłaniał wszelkie ptactwo domowe, dla którego nie było żadnego ratunku. Kury, gęsi i indyki latały po wsi jak żywe, skwierczące pochodnie. Tylko kury wysiadujące jaja ginęły na miejscu.

Tragedia zwierząt pogłębiała tragedię ludzi. Żywcem płonęły psy na łańcuchach, świnie w chlewach i krowy w oborach. Jeden z gospodarzy usiłował ratować krowę, lecz ta ani rusz nie chciała opuścić dopalającego się w korycie cielaka. Nie pomogła nawet płachta narzucona zwierzęciu na łeb. Pies, który uratował się w swej murowanej budzie, do tej pory stamtąd nie wychodzi. Trzeba mu żarcie podawać do środka. Wystraszona koza uciekła aż do sąsiedniej wioski. Poparzony koń wybiegł na leśną drogę i zaczął tarzać się w piasku. Widocznie wzmogło to ból, gdyż raptownie zerwał się na nogi i galopem popędził w kierunku rzeki. Wskoczył do wody, zanurzył się po łeb, następnie wypłynął na wierzch, wyszedł na brzeg, zarżał i jak strzała pogalopował prosto w ogień.

Spicimierz odwiedzałem często, była to wioska pogodna, wesoła, dziś, po straszliwej klęsce, ludzie mówią tu szeptem, żaden pies w zagrodzie nie zaszczeka, nie słychać radosnego krzyku dzieci. Rodziny dotknięte żywiołem grzebią w zgliszczach nadaremnie. Ogień pochłonął wszystko, pozostały tylko zwęglone motory, szczątki rowerów, sprzętu gospodarczego, resztki sieczkarek, powyginane pługi, brony, niezdatne do użytku wozy na gumowych kołach. Posępne to widowisko. Jest to już czternasty pożar w tej najstarszej bodaj w Polsce wsi, która pamięta jeszcze tatarskie zagony i szwedzkie najazdy. Historia ustna głosi tutaj, że kilkunastu Szwedów tak się podczas potopu tu zadomowiło, że zostali na stałe w Spicimierzu. Wśród tutejszych mieszkańców rzeczywiście można by się dopatrzeć nordyckich rysów.

Najdłużej chyba zachowają w pamięci ten pożar Anna Bednarek i Zygmunt Gogolewski. Rankiem oboje gasili ogień, a wieczorem brali ślub. Niecodzienne to było wesele, trwało do białego rana w strażackiej remizie, która cudem nie spłonęła. Jeszcze dymiły zgliszcza i wokół unosił się swąd spalenizny, gdy młoda para jechała do ślubu. Panna młoda znalazła się w tej szczęśliwej sytuacji, że choć pożar strawił jej posag, zdążyła jednak uratować dwie suknie ślubne: jedną do ślubu cywilnego, drugą — do kościelnego. Co prawda płomienie oba stroje nieco nadwątliły, lecz na poczekaniu je zreperowano, dziury pozszywano, zacerowano i ślub się odbył w pełnej gali. Garnitur pana młodego niestety spalił się doszczętnie, łącznie z nowymi butami. Wystąpił więc na uroczystości w pożyczonym na prędce ubraniu. Smutna to była uroczystość. Panna młoda jeszcze na pół godziny przed ślubem szukała po wsi zaginionych owiec i równocześnie, jak każe stary, miejscowy obyczaj, zapraszała wspólnie z mężem gości weselnych na przyjęcie. Zapytana w USC w Uniejowie, czy ma wolną i nieprzymuszoną wolę pojąć za męża tego tu obecnego... itd. — odpowiedziała: „Nie wiem". Kiedy jednak w miejscowym kościele, wieczorem, ksiądz proboszcz zadał jej podobne pytanie, wykazała więcej zdecydowania. W nagrodę otrzymała od proboszcza obraz święty. Od kolegów z pracy (oboje pracują w spółdzielni mleczarskiej) otrzymali w prezencie ślubnym kołdrę, która, na szczęście, również się nie spaliła i mogli pod nią na słomie spędzić noc poślubną. Komplet nowych mebli spłonął natomiast całkowicie. Właściwie spaliło się im wszystko prócz wódki i zakąsek oraz obrączek. I chyba właśnie dlatego, mimo żałoby, jaka ogarnęła dom weselny, zdecydowano ślubu nie odkładać. W weselisku wzięła udział prawie cała wieś. Na 80 zaproszonych gości zaledwie kilku odmówiło udziału w zabawie. Między innymi nie zjawiła się chrzestna panny młodej, albowiem wszystko strawił jej pożar i nie miała się w ogóle w co przyodziać. Nie przyszli również sąsiedzi Jaszkiewicze, którzy najbardziej z całej wsi zostali dotknięci klęską pożaru. Kiedy panna młoda bawiła się wesoło, jej serdeczna przyjaciółka, Smykałówna, której pożar zniszczył cały dobytek, stała wśród nocy na zgliszczach i płakała z żalu.

Początkowo atmosfera na weselnym przyjęciu była pogrzebowa, lecz kiedy trochę zaszumiało w czubach i zagrała orkiestra (zamówiona już wcześniej i szkoda było odmawiać) zaczęły się tańce, prysnął smutek i nastąpiło ogólne odprężenie. Pito na umór bez opamiętania i wszelkich skrupułów. Żal, ból i cierpienie topiono w gorzałce, tańcach, w uściskach i ogólnej serdeczności. Ciotka Kazimiera tak się rozkrochmaliła, że przyrzekła Ewie Michalakównie podarować świniaka na wesele. Ewa Michalakówna była świadkiem na tym ślubie. W trakcie pożaru przyjechała akurat z Łodzi do Spicimierza i tak gorliwie zabrała się do ratowania dobytku ciotki Kazimiery, że powyciągała jej za nogi wszystkie świniaki z chlewów. Dzielna druhna. Natomiast wdowcowi Smykale nikt nie pomagał ratować dobytku. Ten bezręki inwalida stał bezradnie i patrzył, jak mu ogień zabiera dorobek całego życia. Spłonęło mu absolutnie wszystko. Nic nie zdołał uratować. Został sam z trojgiem dzieci, bez dachu nad głową. Miejscowe władze pośpieszyły mu z pomocą, zresztą jak wszystkom pogorzelcom. Liczy jednak również i na pomoc sąsiadów, których nieszczęście ominęło.

Piotra Pasternaka, już trzeci raz dotknął pożar. Trzy pożary na jedno życie, to trochę za dużo. I tym razem od jego chałupy ogień się zaczął. Straż stwierdziła oficjalnie, że od iskry z komina.

Odwiedziłem młodożeńców na pogorzelisku. Spaliła im się obora, stodoła i komora, dom mieszkalny ocalał. Pusty wewnątrz, gdyż w przededniu wesela wynieśli wszystko do stodoły. Ze stodoły udało się wynieść tylko lutro. Będą się mieli chociaż w czym przejrzeć. Młoda mężatka jest energiczna i rozmowna. Mąż raczej spokojny, zrównoważony i małomówny. W tej rodzinie ona zapewne będzie głową domu. Spostrzegam, że z pewną dozą satysfakcji wspominają ostatnie przejścia. Czytali już o sobie wzmianki w prasie codziennej. Na pożegnanie przyrzekają przysłać do redakcji swój konterfekt ślubny.

STEFAN PRAŻMOWSKI

Dni Oświaty, Książki i Prasy

● Konkurs literacki ●

W konkursie, którego zadania publikować będziemy przez cały maj, nie odstępujemy od zasad znanych Czytelnikom z poprzednich konkursów. Odpowiedzi — na kartach pocztowych — można nadsyłać na wszystkie zadania konkursowe, można też rozwiązać jedno z nich. Losowanie nagród odbędzie się po zakończeniu konkursu. Ci, którzy odpowiedzą na wszystkie pytania i nadeślą trafne odpowiedzi, automatycznie zwiększą swe szanse w losowaniu.

Organizatorzy konkursu: **WYDZIAŁ KULTURY RADY NARODOWEJ M. ŁODZI, WYDZIAŁ KULTURY WOJEWÓDZKIEJ RADY NARODOWEJ W ŁODZI, WYDAWNICTWO ŁÓDZKIE, PP „DOM KSIĄŻKI" I REDAKCJA „ODGŁOSÓW". Dla zwycięzców konkursu przygotowano nagrody:**

- **Dwa komplety po 15 płyt. A. Mickiewicz „Pan Tadeusz" — po zł 700.—**
- **Dwie reprodukcje malarstwa (L. Wyczółkowski — „Orka") — po zł 400.—**
- **Pięć egzemplarzy Małej Encyklopedii Powszechnej PWN — po zł 250.—**
- **Dziesięć albumów fotograficznych pt. „Łódź", WŁ. — po zł 100.—**
- **Dwadzieścia bonów książkowych po zł 100.—**

Odbierać je będą nasi Czytelnicy w pięknej, nowoczesnej księgarni „Domu Książki" przy ul. Piotrkowskiej 11, która w tych dniach została otwarta.

ZADANIE KONKURSOWE NR 2

Niektóre utwory łódzkich pisarzy (powieści, eseje, felietony) zanim ukazały się w formie książek, m. in. nakładem Wydawnictwa Łódzkiego, publikowane były na łamach „Odgłosów", „Głosu Robotniczego", i „Dziennika Łódzkiego". Z podanej niżej listy książek prosimy wybrać co najmniej trzy pozycje drukowane uprzednio w prasie.

1. **Wiesław Jażdżyński** — „Okolica starszego kolegi". 2. **Tadeusz Papier** — „Z zapisków kronikarza". 3. **Antoni Kasprowicz** — „Złodzieje owoców". 4. **Jan Czarny** „Zacieki". 5. **Włodzimierz Krzemiński** — „Lewym okiem". 6. **Jan Koprowski** — „Ludzie i książki". 7. **Wacław Biliński** — „Nagrody i odznaczenia". 8. **Zbigniew Nienacki** — „Tajemnicza laseczka". 9. **Wanda Karczewska** — „Partia golfa". 10. **Stanisław Czernik** — „Peregrynacje".

Rozwiązanie (nazwisko autora i tytuł) prosimy podać na karcie pocztowej i nadesłać na adres: **Łódź, ul. Piotrkowska 96, „Odgłosy" — „Konkurs literacki".**

WIESŁAW JAŻDŻYŃSKI

„KTOKOLWIEK BĘDZIESZ W NOWOGRÓDZKIEJ STRONIE..."

W Tbilisi ponad 25 stopni ciepła. Dolina Kury, w której leży miasto, jedyna w swoim rodzaju — tonie w słońcu. Tylko patrzeć i patrzeć na Świętę Górę Gruzinów, na srebrną Matkę Gruzję, która spogląda z wysokości na miasto, miecz trzyma w jednej ręce a winne grona w drugiej. Posąg przykuwa uwagę każdego przybysza z dalekich stron, przypomina stare legendy, może z czasów królowej Tamary, a może jeszcze starsze. Nie mieliśmy czasu na zwiedzanie miasta, ani rozmowy z gruzińskimi kolegami po piórze. Rozgrzani, spoceni, wsiedliśmy do samolotu i po trzech godzinach przywitała nas Moskwa deszczem, wiatrem i śniegiem. Trudno przetrzymać tego rodzaju wahania temperatury, a że jednak musieliśmy — łykało się bez przerwy rozmaite piguły. Przed nami jeszcze grube setki kilometrów.

Do Mińska, na Białoruś, ruszyliśmy już we trzech. Towarzyszył nam Wiktor Borysow, pisarz, tłumacz z polskiego, niezmordowany opiekun pisarzy ze wszystkich krajów socjalistycznych, a już osobliwie — pisarzy polskich, bardzo życzliwie zainteresowany współpracą naszego środowiska literackiego z białoruskimi kolegami.

Było nadal zimno, bardzo nawet zimno, kiedy przybyliśmy do Mińska, a jednak z miejsca odczuliśmy ciepłą atmosferę, jaka nam towarzyszyła przez cały okres pobytu na Białorusi. Witał nas serdecznie Janka Bryl, znakomity prozaik, ale on tej atmosfery nie wyreżyserował, ona po prostu istnieje zawsze w odczuciu Polaka nieco starszego pokolenia. Pierwszą niespodziankę sprawił nam sam Mińsk, dziś już blisko milionowe miasto, nieco większe od Łodzi, a już na pewno starsze, liczy bowiem równe 904 lata. I choć jest takie stare — jest cudownie młode, rozległe, co kawałek obszerny plac, szerokie ulice i dużo, bardzo dużo zieleni. Hitlerowcy dwa razy niszczyli stolicę Białorusi, kiedy ciągnęli na Moskwę i kiedy uciekali na łeb i szyję, miasto odbudowano i przebudowano w ciągu dwudziestu lat, podobnie zresztą setki innych miast, osad i wsi. Dodam jeszcze dla kronikarskiej skrupulatności, że w gruzach legło 10.000 zakładów produkcyjnych tej Republiki.

Pierwszego wzruszenia doznaliśmy podczas zwiedzania Białoruskiego Muzeum Państwowego Wielkiej Wojny Narodowej. Nigdy nie widziałem podobnego muzeum. Nas zawsze będzie wzruszać pordzewiała broń partyzantów, ulotki, pisma podziemne, nieczynne już radiostacje, pistolety, coś nam mówią pepeszki i diegtiariewy, granaty własnej produkcji, przypominają nam własną młodość, która przypadała na lata okupacji, wiążą walkę Białorusinów z naszą, z tym samym wrogiem. Zresztą w mińskim muzeum nie brak poloników, co kawałek — zdjęcie żołnierza lub oficera Polaka, ale i Czechów nie brak, Słowaków, Francuzów, Hiszpanów czy niemieckich antyfaszystów. Ekspozycja przebogata, darmo takiej szukać u nas, przedstawia braterstwo wielu ludów podczas ostatniej wojny z faszyzmem.

A potem jeszcze dwa inne muzea, tym razem literackie — Janki Kupały i Jakuba Kołasa, twórców współczesnej literatury białoruskiej, wymowny przejaw szacunku dla pisarzy. Jeżeli przy zwiedzaniu coś mnie szczególnie uderzyło — to chyba harmonijne połączenie patosu z codziennością. Patosu w tekstach i obrazach, kiedy poeta protestuje przeciw krzywdzie, ujmuje się za człowiekiem, zaś codzienność to wzruszające niekiedy, ulubione drobiazgi pisarzy. Właśnie one przydają całości ciepła. Gdzie się nie obrócić — w całym Związku Radzieckim można oglądać muzea literackie. Gdybyż to tak i u nas było, zwłaszcza w Łodzi, gdzie ani słychu ani dychu o muzeum Reymonta, Tuwima czy Struga.

Ciepłe, żeby już nie powiedzieć — braterskie, były nasze rozmowy z białoruskimi kolegami po piórze. A nade wszystko konkretne. Przywieźliśmy korektę obszernej antologii poezji białoruskiej, zredagowanej przez Jana Huszczę, wydamy ją chyba nie najgorzej w Wydawnictwie Łódzkim. Kończymy składać w Łodzi prozę Janki Bryla. Lecz przyjaźń wtedy jest pełna, gdy obowiązuje obie strony do tego samego. Nasi koledzy białoruscy zakończyli właśnie pracę nad antologią poezji, związanej z Łodzią. Znajdą się w niej obok Tuwima, Broniewskiego, Jastruna, czy Iwaszkiewicza — wiersze poetów rdzennie łódzkich, do najmłodszych włącznie. Szczegółową wymianę tytułów omówić mamy jesienią bieżącego roku. W grę wchodzi proza, literatura dla młodzieży i dzieci, oraz poezja. Ta, pod tym warunkiem oczywiście, że będzie zrozumiała dla radzieckiego czytelnika. De gustibus non est disputandum.

Spotkaliśmy się z dużą grupą pisarzy białoruskich. Bardzo mi przypadł do serca świetny pisarz Maksym Tank, a to dlatego, że jest skromny, absolutnie nie zamęcza nikogo swoją twórczością, nie czyta na poczekaniu wierszy, nie streszcza swoich książek. Równie skromny okazał się bardzo ceniony poeta Pimen Panczenko. Jego tomy poetyckie rozchodzą się w dziesiątkach tysięcy egzemplarzy. Poznaliśmy także Iwana Szamiakina, drugiego sekretarza Związku Pisarzy Białoruskich. Wydał on już w Polsce swoje „Serce na dłoni". Ogromnie spodobał mi się generał major Mikołaj Aleksiejew, który zajmuje się działem literatury wojennej.

Część oficjalną naszej wizyty zakończyliśmy w Komitecie Centralnym Białoruskiej Partii Komunistycznej. Przyjmował nas Stanisław Marcelew — kierownik Wydziału Kultury i Oleś Sawicki — pisarz, kierownik sektora literatury pięknej. Myśleliśmy początkowo, że to będzie rozmowa cacy, cacy, na okrągło, stało się jednak inaczej. Nasi gospodarze wiele wiedzą o Łodzi, jej rewolucyjnych tradycjach, a i o pisarzach łódzkich wiedzą niemało. Mogliśmy więc i na tym „szczeblu" ustalić naszą wzajemną współpracę na lata przyszłe.

Następnego dnia wyjechaliśmy w Nowogródzkie, na młodzieńcze szlaki Adama Mickiewicza. Droga, ta już boczna, podła, rozmyta wodami wiosny, zupełnie jak za czasów studenckich Adama, ale nastrój coraz bardziej skupiony. Patrząc na sfalowaną lesistą ziemię nowogródzką, przetykaną jeziorami, wsiami malowanymi na różne kolory, my także wracaliśmy w nasze młodzieńcze lata, kiedyśmy po raz pierwszy stykali się z poezją Mickiewicza.

Mijamy bokiem Płużyny, przystajemy nad Świtezią. Jest zimno, cisza. W tyle elegancka restauracja, ale tu nie ma hałaśliwych turystów — teren objęty troską Republiki, coś w rodzaju parku narodowego. Jezioro nie jest wielkie, ale piękne, otoczone zewsząd bukietami drzew. Janka, nasz niezmordowany Cicerone, próbuje nas uświadamiać: Mickiewicz brał wątki do swoich ballad z ust białoruskich bajarzy. Wiemy o tym. W liście do Jana Czeczota Mickiewicz pisze:

„...życia hojnie użyłem między 1815 a 1820 latami, szczególnie w domu Wereszczaków (Tuhanowicze, Płużyny), gdzie w towarzystwie Tomasza Zana i innych przyjeżdżaliśmy przepędzać wakacje. Całe noce w lasach, nad jeziorami... Wysłuchawszy raz bardzo zajmującej bajki, opowiadanej przez rybaka, Maria obracając się do mnie, zawołała: Oto poezja! napisz coś takiego! Te wyrazy głęboko się wpiły w duszę moją i odtąd wziąłem mój kierunek poetyczny".

Rybak zaś opowiadał, że na brzegach Świtezi ukazują się co jakiś czas Ondiny, takie ładne nimfy wodne, które lud białoruski nazywa Świteziankami. I oto w Płużynach nad Świtezią, 12 sierpnia 1821 roku powstaje ballada zaczynająca się od słów — „jakiż to chłopiec piękny i młody...".

Zatrzymujemy się w Koreliczach, niedaleko wsi, w której urodził się Janka Bryl, w pobliżu innej, gdzie przyszedł na świat pan wiceminister kultury i sztuki PRL — Aleksander Syczewski. Korelicze to dzisiaj piękna, rozległa wieś, kiedyś najeżdżany przez panów - braci przysiółek, jeżeli wierzyć Mickiewiczowi. A czemużby nie?

Spotyka nas wzruszająca niespodzianka, z innej co prawda epoki, ale w jakiś serdeczny sposób

komponująca całość naszej podróży po ziemi nowogródzkiej. Odwiedziliśmy Pawła Żeleźniakowicza, wybitnego działacza rewolucyjnego. Był przyjacielem i towarzyszem walki Mariana Buczka, razem siedzieli w więzieniu rawickim, razem wyłamywali kraty i szli bronić walczącej Warszawy, Buczek zginął na oczach naszego gospodarza.

Wreszcie Nowogródek. Na niebie pojawiło się trochę słońca. Wspinamy się na kopiec, fotografujemy zawzięcie ruiny zamku i farę, w której ochrzczono Mickiewicza. Fakt ten upamiętnia marmurowa tablica. Przy głównym wejściu stare portrety naszych dawnych karmazynów, cisza, pustka, tylko nowogórdzka Madonna uśmiecha się smutno. O niej to pisał Mickiewicz w inwokacji do „Pana Tadeusza".

Kiedy młody, jak byśmy dzisiaj powiedzieli — magister, po raz ostatni odwiedził Nowogródek, żalił się Czeczotowi:

„Jak tylko wyjechałem z Wilna — już żałowałem wyjazdu. Przebyłem drogę nudnie, zajechałem do obcego domu, pobiegłem na nasz niegdyś dziedziniec. Żal mnie nie pozwolił uważać spustoszenia, które było wkoło mnie; oficynkę, w której mieszkaliśmy, zastałem otwartą, ale ciemną. Postaw się w moim miejscu. Nikt mnie nie spotkał, nie słyszałem owego „Adam, Adam!". Tak mnie żal ścisnął, że długo nie mogłem odetchnąć"...

To był ostatni pobyt Mickiewicza w Nowogródku, wszystko się rozpadło, kończyło, nikło bezpowrotnie. Nasz pierwszy pobyt w Nowogródku przypadł na wiosnę 1971 i trafiliśmy na sytuację przeciwną. Dom Mickiewicza jest już odremontowany, zachwyca kolorami bieli i pomarańczy. Właśnie kończy się ustawiać eksponaty. Sporo tego jest, choć może autentyków trochę mało. Specjaliści z Mińska niezwykle starannie rozmieszczają rzeźby, medaliony, fotokopie, litografie, nieliczne meble. Niezadługo dom Mickiewiczów ożyje.

I wreszcie Baranowicze, odmienione nie do poznania. A cóż to była kiedyś za dziura! Współczesne Baranowicze to po prostu uprzemysłowione, żywe, gwarne miasto. Dymy strzelają z fabrycznych kominów, parki, skwery, wcale eleganckie restauracje, a w każdym razie znakomicie zaopatrzone w białoruskie specjały. Zziębnięci, lecz wypełnieni wrażeniami, smakowaliśmy w milczeniu sławną maczankę z blinami. Ale też wtedy jakoś mimo woli przeskoczyliśmy od epoki Mickiewicza do dzisiejszej Białorusi.

Republika liczy około 9 milionów ludzi. Nie jest to dużo, a jednak Białoruś wytwarza dziś jedną trzecią nawozów potasowych w ZSRR, co piąty traktor, co szósty motocykl, co ósmą obrabiarkę, co trzynasty radioodbiornik, jedną czwartą włókna lnianego. Ponad 150 zakładów pracy eksportuje swoje wyroby do 70 krajów świata.

To wszystko wyczytaliśmy sobie w specjalnym folderze, ładnym, kolorowym i drukowanym w języku polskim: 11 teatrów, 37 muzeów, 130 gazet, i 40 czasopism. Wyczytaliśmy z wielkim zainteresowaniem, a kiedy żegnaliśmy gościnną i piękną ziemię białoruską, przyszło nam na myśl, że właśnie tu zbudowano najpiękniejszy pomost między dawnymi a nowymi laty.

ROCH KOPACKI

ŁÓDŹ POSPIESZYŁA Z POMOCĄ

50 LAT TEMU, W NOCY Z 2 NA 3 MAJA WYBUCHŁO TRZECIE POWSTANIE ŚLĄSKIE. POSTAWA LUDU GÓRNOŚLĄSKIEGO, KTÓRY MIMO TERRORU NIEMIECKIEGO NIE USTAWAŁ W DĄŻENIACH DO POŁĄCZENIA Z POLSKĄ I PRAGNĄC ROZSTRZYGNIĘCIA SIĘGAŁ DO OSTATECZNEGO ARGUMENTU — WALKI, Z ŻYWYM ZAINTERESOWANIEM I POMOCĄ SPOTKAŁA SIĘ ZE STRONY SPOŁECZEŃSTWA POLSKIEGO. GŁOŚNYM ECHEM ODBIŁA SIĘ SPRAWA ŚLĄSKA RÓWNIEŻ WŚRÓD MIESZKAŃCÓW ŁODZI I WOJEWÓDZTWA.

W początkach maja w Łodzi, podobnie jak w całej Polsce, odbyło się szereg zgromadzeń protestacyjnych. Już 3 maja 1921 r. odbyła się wielka manifestacja robotnicza, której uczestnicy solidaryzowali się z ludem górnośląskim i przyrzekali stanąć w szeregach powstańców, dając wyraz niezadowoleniu z ugodowej polityki rządu polskiego.

7 maja wieczorem przeciągnęła przez miasto zorganizowana przez związki zawodowe imponująca manifestacja robotnicza. Ludność witała entuzjastycznie demonstrantów, niosących sztandary narodowe oraz plakaty z napisami wyrażającymi solidaryzowanie się z powstańcami. Następnego dnia odbył się wspólny wiec stronnictw politycznych, który zgromadził 15 tysięcy osób. Mówcy podnosili bohaterstwo ludu górnośląskiego, krytykując zarazem neutralne stanowisko rządu.

Szczególną aktywnością odznaczyli się łódzcy socjaliści, którzy powołując się na zasadę samookreślenia narodów widzieli w trzecim powstaniu walkę proletariatu górnośląskiego z kapitałem międzynarodowym o wyzwolenie narodowe, a jednocześnie jeden z pierwszych etapów walki o socjalizm; przystąpili do udzielenia materialnej i zbrojnej pomocy. Gotowość niesienia pomocy dla Górnego Śląska, wyraziła również na zorganizowanej 9 maja manifestacji, młodzież szkół średnich. Wiece objęły także miasta i wsie województwa łódzkiego. Już 5 maja zebrało się kilkanaście tysięcy osób na manifestacji w Radomsku. Po odbyciu wiecu w Zduńskiej Woli, szereg osób zgłosiło chęć pójścia z pomocą powstańcom. Wiece odbyły się ponadto w Łęczycy, Poddębicach, Zelowie, Aleksandrowie, Konstantynowie, Szadku, Tomaszowie Maz. i in.

Jednocześnie z trwającą akcją protestacyjną, społeczeństwo Ziemi Łódzkiej udzielało wydatnej pomocy powstańcom i ich rodzinom. Już na pierwsze wiadomości o walkach na Górnym Śląsku z transportem opatrunków oraz bielizny udała się grupa łódzkich pielęgniarek. Do powiatów wysłano plakaty, ulotki propagandowe i okólniki z zaleceniem organizowania pomocy. Na urządzanych zgromadzeniach składano pieniądze, opodatkowywali się robotnicy, przeznaczając dzienne zarobki, znoszono odzież i artykuły spożywcze. Z Łodzi na potrzeby powstańców przekazano łącznie ponad 4 mln marek polskich. Część artykułów przekazano bezpośrednio na teren walki.

Ofiarność na rzecz trzeciego powstania była tym większa, iż położenie materialne mieszkańców robotniczej Łodzi, która wyszła z wojny ze zniszczonym przemysłem, było niezwykle trudne. Gwałtowny spadek wartości pieniądza, bezrobocie, wzrastająca drożyzna, a nawet brak dostatecznej ilości mąki, cukru i ziemniaków dawały się wówczas ludności dotkliwie we znaki.

Gorącego poparcia, głównie w dostawie produktów rolnych udzieliła ludność woj. łódzkiego. W celu ułatwienia przesyłek utworzono przy stacjach kolejowych specjalne komitety, które zajmowały się wysyłaniem na

KAROL BADZIAK

OPTYK I ZAĆMA

W mojej praktyce dziennikarskiej napotykałem już wielokrotnie szalejącą bzdurę, lecz ta jest w stanie zbulwersować człowieka najbardziej odpornego na nonsens. Otóż mieszka i pracuje w naszym mieście człowiek niepozorny, optyk z zawodu, utalentowany rzemieślnik o przysłowiowych złotych rękach. Jego wyjątkowe umiejętności odkrył przed wieloma laty, dla potrzeb okulistyki, wybitny specjalista chorób oczu, prof. Janusz Sobański. Do tej pory zresztą współpracuje on z profesorem w klinice Akademii Medycznej. Posiada ponadto prywatny zakład usług optycznych, mieszczący się kątem u zegarmistrza przy ul. Wschodniej 76. Klitka bez okien, zagracona przeróżnymi sprzętami, których użyteczność i przeznaczenie wiadome są tylko samemu właścicielowi. I w tym właśnie pomieszczeniu wyczarowuje on ze szkła, a ostatnio również z mas plastycznych, przedmioty optyczne o unikalnej wprost wartości. Zwracają się do niego wybitni specjaliści cywilni i wojskowi z zamówieniami, których właściwie poza nim nikt w naszym kraju nie potrafi wykonać.

Oto fragment listu prof. dr Tadeusza Krwawicza z Lublina:

„Bardzo uprzejmie Panu dziękuję za list i za przesłany próbny egzemplarz okularów. Jestem naprawdę bardzo z nich zadowolony. Oczywiście są tam pewne techniczne usterki, które należy usunąć. W tej sprawie zgłosi się do Pana adiunkt dr Lechosław Dymowski i wszystko osobiście omówi. Dzięki Pana wysiłkowi jak i zdolnościom będzie można zapewnić operowanym chorym znacznie lepszą opiekę i komfort. Po ustaleniu danych technicznych prosiłbym o 1 lub 2 próbne egzemplarze, które chciałbym zademonstrować na posiedzeniu Zarządu Głównego Polskiego Towarzystwa Okulistycznego tak, ażeby możliwości ewentualnego zamówienia były udostępnione wszystkim klinikom..."

Marian Borchard, bo tak brzmi nazwisko optyka, wykonuje precyzyjnie nie tylko cudze zamówienia, lecz sam występuje z inicjatywami, szuka nowych rozwiązań wynalazczych, nowych zastosowań w optyce tworzyw sztucznych itp. Jest m. in. współtwórcą prototypu tzw. sztucznej wątroby, za co otrzymał nagrodę zespołową ministra zdrowia. Bierze również udział w krajowych i międzynarodowych sympozjach i zjazdach naukowych okulistów.

Oto opinia kierownika Poradni Leczenia Zeza przy Wojewódzkiej Poradni Specjalistycznej w Szczecinie, dr med. T. Baranowskiej-George na temat jednego z wynalazków.

„Mikropryzmaty opracowane przez p. Mariana Borcharda zasługują na uwagę ze względu na swą lekkość i rozmiary. Posiadają drobne prążki, które nie powodują znacznego osłabienia ostrości wzroku, spełniają jednocześnie zadanie normalnego szkła pryzmatycznego. Bardzo dogodne w użyciu i bardzo pożądane przy leczeniu zeza zarówno u dzieci, jak i osób starszych. Inicjatywa p. M. Borcharda jest godna poparcia, ponieważ stwarza możliwość do usprawnienia metody leczenia zeza".

Lecz to nie wszystko. Marian Borchard jest aktualnie jednym jeśli nie jedynym w ogóle człowiekiem w Polsce, który wykonuje bardzo skomplikowane szkła kontaktowe. Ponieważ wiedza o tych szkłach nie jest zbyt rozpowszechniona, pozwolę sobie poinformować, że używa się ich tam, gdzie zawodzą okulary, a więc przy dużej różnowzroczności, po operacji zaćmy pourazowej, przy wadliwej strukturze stożka rogówki. Ze względów estetycznych, kosmetycznych i zawodowych noszą je także artyści, hokeiści, górnicy, tokarze i marynarze. A na marginesie — przydałyby się także i włókniarzom.

Dla wielu ludzi, którzy widzą świat jak przez mgłę, szkła tego typu są wielkim dobrodziejstwem, przywracają ich społeczeństwu w sensie zawodowym i społecznym. Zresztą oddajmy im głos:

„Gdybym Panu powiedział, że przez Pańskie soczewki jeszcze raz urodziłem się na świat, to i tak nie będzie Pan wiedział, co to znaczy, bo Pan t y l k o raz się urodził. Nie rozmawiam już z manekinem, nie mylę autobusu z taksówką... Po tygodniu oglądałem film „Wojna i pokój". Teraz dopiero zacznę oglądać wszystko od nowa. Wreszcie ujrzałem, jak piękny jest świat".

E. TULEJ, WROCŁAW

„Noszę już szkła kontaktowe od marca 1966 roku. Jestem w takiej sytuacji, że nic innego pomóc mi nie może, tylko te szkła. Uważam, że każdy człowiek może je nosić, tylko powinien być uparty i nie załamywać się. Pamiętam jak okropnie czułam się, gdy chyba z pięć lat nosiłam się z myślą, że pomału ślepnę i że nie ma dla mnie ratunku".

STANISŁAWA KOZŁOWSKA, MIŁKOW

Podobnych wypowiedzi listownych otrzymuje pan Borchard dziesiątki. Oto list marynarza polskiego, Czesława Płozy, wysłany z Singapuru:

„Serdecznie dziękuje za szkła kontaktowe (nabłonkowe) używam ich codziennie po 15 godzin w pracy i po zakończeniu pracy, tylko do spania zdejmuje. Czuje się doskonale, jak nowo narodzony, widzę daleko, nawet na horyzoncie, małe punkciki i nikt nie zauważa żadnej różnicy między jednym okiem a drugim. Jednym słowem jest Pan dobroczyńcą dla ludzi..."

Szkła te wykonywał Marian Borchard pod nadzorem lekarza-okulisty, w Spółdzielni Pracy Lekarzy Specjalistów. Po ośmiu latach pracy Mariana Borcharda wykluczono ze spółdzielni, gdyż okazało się, że człowiek posiadający własny zakład nie może być członkiem tej instytucji. Przepisy — rzecz święta. Oczywiście, przed skreśleniem go z listy członków spółdzielni zaproponowano mu, aby zlikwidował własny zakład. Oczywiście Marian Borchard nie zgodził się, ponieważ zakład ten traktuje jako swego rodzaju laboratorium. Nie jest przecież zwykłym rzemieślnikiem, lecz wybitnym specjalistą, który prowadzi na własną rękę różne doświadczenia. Jego warsztat pracy składa się ze sprzętu, który kompletował przez całe życie. Co prawda pracownia ta przypomina raczej sanktuarium alchemika niż nowoczesne laboratorium, ale nie to jest istotne, tylko efekty.

— Całe życie byłem niezależny, pracowałem samodzielnie, już jestem za stary aby uczyć się posłuszeństwa wobec szefów — powiedział do mnie Marian Borchard. — Żal mi tylko ludzi, którym mogłem pomagać, a teraz mi tego zabroniono. Od momentu, kiedy mnie skreślono z listy członków spółdzielni, a stało się to 31 stycznia br., przychodzą do mnie, proszą, błagają o szkła, a ja nic na to nie mogę poradzić. Prywatnie nie wolno mi tych rzeczy robić, mam bowiem licencję na wykonywanie wyłącznie zwykłych okularów. Niedawno wezwał mnie prezes Izby Rzemieślniczej i zagroził, że gdy zrobię chociaż jedną sztukę, to zostaną wobec mnie zastosowane bardzo surowe sankcje. A teraz proszę przeczytać list, który otrzymałem od lekarza z Wrocławia 17 kwietnia 1971 roku:

„Kilka lat temu, na Zjeździe Okulistów Polskich, miałem przyjemność osobiście poznać Pana podczas demonstrowania wykonywanych przez Pana szkieł kontaktowych i szkieł kolorowych. Wiem, że Pan nie może mnie pamiętać, jednakże odważam się zwrócić z gorącą prośbą o pomoc. Chodzi o mego pacjenta, Z. B., który cierpi na wysoką krótkowzroczność i dużego stopnia stożki obu rogówek. Pan mu już kiedyś wykonywał szkła kontaktowe. Nikt obecnie poza Panem tego nie zrobi. Odwołuję się przeto do Pana, po prostu z ludzkich względów, gdyż chory nie może pracować w swoim zawodzie (jest inżynierem) i jest zrozpaczony. Proszę usilnie Pana o zrobienie wyjątku i wykonanie szkieł kontaktowych w tym jednym przypadku".

Dodam tu, że M. Borchard zgodził się pracować w spółdzielni już nie jako pełnoprawny członek, lecz jako pracownik. Prosił tylko o jedno: o zatrudnienie go wspólnie z żoną, która i przedtem mu pomagała. Zarząd spółdzielni nie zgodził się na zatrudnienie żony, motywując tym, że nie posiada ona odpowiednich kwalifikacji. W tej sytuacji do porozumienia nie doszło.

Złożyłem wizytę pani prezes spółdzielni przy ul. Piotrkowskiej 5. Tej rozmowy nie będę szczegółowo relacjonował, po pierwsze — dlatego że nic do sprawy nowego nie wniosła, po drugie — odbyła się tylko w cztery oczy, a ja nie chciałbym odbierać pani prezes szansy publicznego wypowiedzenia się osobiście na temat tej decyzji na łamach naszego pisma. Odniosłem tylko wrażenie, że moja rozmówczyni, choć jest w zgodzie z przepisami, chyba nie bardzo jest w zgodzie z własnym sumieniem. Ale było to wrażenie naskórkowe i w razie czego chętnie je wycofam. Zresztą pani prezes ma też prawo zawsze wycofać się z tego, iż określiła postawę Mariana Borcharda jako antyspołeczna. Chciała mi koniecznie pokazać listę płac, gdzie stoi czarno na białym, iż rzemieślnik ten, razem z żoną, zarabiał w spółdzielni miesięcznie ponad 10.000 zł. Przyznaję samokrytycznie, listy tej nie chciałem obejrzeć, uwierzyłem na słowo, mam bowiem zaufanie do odpowiednich ludzi na odpowiednich stanowiskach. Poza tym jestem dziennikarzem, a nie buchalterem, więc nie mam nic przeciwko temu, żeby wysokiej klasy specjalista zarabiał tylko trochę mniej niż przeciętna piosenkarka estradowa. Gdy już o finansach mowa, to cena szkieł kontaktowych wynosiła w spółdzielni 400 złotych za sztukę, z czego wykonawca brał dla siebie 55 procent, reszta szła do kasy spółdzielni. Strat z tego tytułu spółdzielnia nie miała żadnych, ponieważ nawet opakowania do tych szkieł kupował pan Borchard za swoje pieniądze. Nie muszę chyba dodawać, że należało to raczej do obowiązków spółdzielni, lecz komu by się chciało zawracać głowę takimi drobiazgami w instytucji powołanej do wyższych celów publicznych. Dodam również, że tego typu szkła na Zachodzie kosztują od 100 do 200 dolarów.

I właściwie nie mam już nic więcej na ten temat do powiedzenia.

P. S. Co prawda Marian Borchard nie jest piłkarzem, lecz chciałem zauważyć, że górnicy już zwrócili na niego uwagę i poczynili pewne konkretne kroki. Myślę, że na Śląsku nie będzie mu gorzej niż w Łodzi. I słusznie. Niech wyjeżdża. Nie będzie z nim kłopotu w mieście...

W następnym numerze **„ODGŁOSÓW"**

★ **E. ŻUREK** – Uciekinier
★ **A. MAKOWIECKI** – Kocówa w pokoju 168
★ **I. NAGÓRSKA** – Czy tylko powieści?
oraz recenzje, felietony, konkurs, nowela kryminalna.

Górny Śląsk dostarczonych produktów. W wielu miastach utworzyły się komitety pomocy dla Górnego Śląska.

Najpopularniejszą formą ofiarności było zbieranie składek w czasie wieców oraz opodatkowanie się, np. doraźna składka w Brzezinach dała 30 tys. mk. Ludność rolnicza pow. łódzkiego opodatkowała się w wysokości 5-10 mk od morgi a bezrolni 10-100 mk od okna. Odznaczający się ofiarnością komitet łęczycki przekazał ponad 1 mln mk. Większe ofiary wpłynęły także z Pabianic, Zgierza, Uniejowa, Sieradza, Piotrkowa. Z inicjatywą wystąpiły również oddziały PCK z Łodzi, Brzezin, Zgierza, przesyłając odzież, leki i środki opatrunkowe. Wysiłek społeczeństwa łódzkiego wysoko oceniony został w piśmie Naczelnego Dowództwa Wojsk Powstańczych „Powstaniec": „Na 98 wagonów żywności, z byłej Kongresówki wpłynęło 58, w szczególności Łódź dostarczyła półtora wagonu mąki, 65 worków ryżu, 35 worków kaszy". Razem z Łodzi i okręgu łódzkiego wysłano 23 wagony żywności. Wielkość tej pomocy była ładnym świadectwem zrozumienia przez cały naród rozgrywającego się dramatu górnośląskiego.

Na wieść o wybuchu powstania na Górny Śląsk pośpieszyli z Łodzi ochotnicy, aby pomóc w walce śląskiemu robotnikowi. Rekrutacja ochotników odbywała się bez udziału oficjalnych czynników państwowych, prasy i przebiegała na pół konspiracyjnie. Wyrazem przekonania o konieczności udzielenia zbrojnej pomocy walczącym powstańcom był fakt, iż w ciągu kilku dni zdołano wysłać na Górny Śląsk kilkuset ochotników. Biuro werbunkowe mieściło się przy ul. Piramowicza 3. Energicznie akcją werbunkową zajął się magistrat łódzki, który dawał urlopy pracownikom udającym się na teren walki, wypłacając rodzinom pełne pobory przez cały okres ich nieobecności.

Do pierwszych dni maja zarejestrowało się około 400 ochotników w wieku 17—26 lat. Wśród nich byli głównie robotnicy, pracująca młodzież oraz uczniowie szkół średnich. Część posiadając przeszkolenie wojskowe objęła później stanowiska w kompaniach, począwszy od szefa kompanii do dowódców drużyn. Przez granicę przewieziono ochotników potajemnie, w wagonie zadeklarowanym jako transport żywności. Pokaźna liczba łodzian brała udział w powstaniu przechodząc granicę na punktach kontaktowych, jako osoby cywilne, dezerterując z jednostek, bądź jako ochotnicy urlopowani z wojska.

Na pomoc pośpieszyli członkowie byłej organizacji bojowej PPS z Antonim Purtalem na czele, zaprawieni do walki w latach rewolucji 1905—1907 r. Zorganizowani i przeszkoleni działali w operacyjno-wywiadowczej grupie „Wawelberga". Jeden z członków PPS J. Grobelny wraz z braćmi wytwarzał petardy oraz różne pociski, których brak odczuwali powstańcy, a były bojowiec B. Majchrowicz jako instruktor wojskowy w powiecie Oleśno sformował i uzbroił kilka grup bojowych, z którymi przeprowadził liczne akcje bojowe i wywiadowcze. Łodzianie służąc w oddziałach łączności, kolumnach sanitarnych, pociągach pancernych, brali udział w walkach zbrojnych, przemierzając szlak od Bytomia aż po Górę św. Anny. Wykazali się odwagą i poświęceniem, zdobyli uznanie u swych dowódców.

Wyrazem uznania dla społeczeństwa Łodzi za pomoc udzieloną powstańcom było powierzenie miastu w 1921 r. patronatu nad uroczystością nadania imienia 4 pułkowi powstańców śląskich.

Dla wielu łódzkich powstańców krwawe zmagania o przyłączenie Górnego Śląska do Polski były pierwszym stopniem walki o wyzwolenie narodowe i społeczne, którą podjęli w następnych latach. Z powstańców śląskich wyrośli późniejsi działacze lewicowi, np. Jan Piątkowski, Józef Rybarczyk, Jan Sroczyński, Mieczysław Przybył, Longin Florczak i in., którzy za swą działalność polityczną byli skazywani na więzienia i obozy. Przeciwko nim skierowane były w pierwszym rzędzie surowe represje wojsk hitlerowskich. Zostali ścięci lub rozstrzelani przez okupanta: Z. Borowski, J. Janiaczyk, Z. Lis, P. Nowotniak, W. Biegański, Cz. Bubiak, L. Olejniczak i in. Nie brakło byłych powstańców w ruchu oporu, na frontach II wojny światowej, na szlakach I i II Armii Wojska Polskiego.

Żywa jest w społeczeństwie łódzkim pamięć o wydarzeniach sprzed pół wieku. Do dnia dzisiejszego żyje 257 powstańców (79 w Łodzi i 178 w województwie), zrzeszonych w łódzkim oddziale ZBoWiD.

RYSZARD BINKOWSKI

POMIARÓWKA HELENKA

W sołtysowym sadku stanął wieczór rozjarzony ognikami papierosów, w brzęku szkła, gulgocie. Pod niską koroną organki dzwoniły tęskliwą melodię.

Ostro pił nasz rudy Antek pod pniakiem wiśni przejrzałej. A ja, Józek i Roman wisieliśmy na drabince u okienka na stryszku. Śmialiśmy się z Antka, a nam samym mowa wiązana przyczepiła się do języków.

— Mogłaby pani choć raz wyjść do tego sadu — mówiłem.

— Wieczór cichy i ciepły. — ciągnął Roman.

— W sadzie więdnie trawa, mięta, korą pachnie i liśćmi — dodał Józek.

— To wieczorne życie pod sadem ładniejszym aniżeli ta książka, którą pani czyta — powiedziałem.

Odłożyła książkę. Podeszła do okienka. Widzieliśmy w jej oczach gwiazdę wiszącą nad sadem. Przygasała. Cień pylisty, smutek..

— Pani tęskno za miastem...

— Nie... Urodziłam się na wsi... Ale niedługo tam pozostałam.

— Coś ze wsi jest w pani dłoniach — mówił Józek. — Ślad słońca i wiatru, w którym pani chodziła po polach, ale...

Nie dokończył... W skrzypie i chrobocie zjechaliśmy po ścianie w klapiaste łopiany. Stał nad nami rozkraczony Antek.

— Dała w mordę, i dobra! Ale ani moja, ani ona wasza! Nie będziecie pieprzyć ślicznych słówek, paniali?

Okrążyliśmy Antka. Gniew pościskał nasze szczęki i pięści.

— No! Nie skaczcie, gnojki — wychrypiał.

Ujrzeliśmy w jego dłoni migocący gwiezdny okruch.

— To ty, Antek, tak do nas?...

— Z kiziorem?...

— Nie gadać! Pić trza...

Poszliśmy z sobaczo obitymi, spuszczonymi łbami. I ładowaliśmy się tym nie dowarzonym zaciérem z cukru i drożdży.

Zgasło światło w okienku. Zatańczyła cała sadu korona. Ech, rozkręcił się, zawirował w łbach ogniście zastodolny kierat...

A rankiem ozłoconym, przetkanym kłaczkami mgły, szliśmy poprzez pola z tyczkami. W gębach susza biała, języki kołczaste. Chochla słomy chlupotała w obolałych głowach.

Tchórzliwie, ukradkiem na Helenkę zerkamy. Wstyd po mordolocie w łopiany...

Słońce ssie już opar ostatniej kropelki, dyniasto się płoni. A Antka nie ma...

— Nie przyjdzie — mówię.

— Kto wie? — Roman na to. — On ma dziwne zagrania... Nieraz łamie się, płacze...

— Żadna panna w pysk mu dotąd nie dała — zauważa Józek.

— To nie przyjdzie — powtarzam.

I na niemo robimy z Antkiem przez całuśki dzień.

A w dniu drugim nasz wiewiórczak leci trzy kilosy do sklepu w osadzie. Papieroski pszenne niesie, świeży chleb z piekarni, Dla panny Helenki...

A wieczorem wali do chałupy sołtysa. Długo nie wychodzi... A my w sadku przyczajeni. Wnerwieni my, ech!...

Skoczył Józek po drabinę. Cichuteńko przystawiamy i kunio wpełzamy. U góry perkalik w szybkach. Złote wiórki sypią się przez szparkę.

Patrzymy. Józek smarka rozgłośnie.Bo nasz Antek w krześle, łapy na kolanach. A czarniutka Helenka czyta książkę.

— Antek gówno rozumie z tego jej czytania — szepce Roman.

Tak, tak... W oczach Antka ta

Rys. E. Inglot

A przyszedł... Elegantszy niż Roman. Czysta, flanelowa koszula, spodzień w kancie, muchę tnie. Najlepszy garnitur. Z elany. Marynara w jeden rząd, takie teraz nastały. Stary Melchior rzekłby, że przez noc w rudego Antka wszedł szajbus stuknięty.

Antek kłania się Helence, na nas zerka cwaniacko. Galopuje z tyczkami, potyka się w bruzdach, taśmę nosi pierwszy.

— Pieprzniesz psa przez łeb — mówi Józek — albo znienawidzi, albo bijącego ulubuje sobie.

— Chyba to ostatnie siedzi w naszym Antku — Roman na to.

— Antek też ma swój ambit — kończę.

drobna twarzyczka tkwiąca w pochyleniu, czarne włosy osypane jaśnistą kurzawką.

— Koniec z Antkiem — mówię.

— Gdzie te jego panny z siennych kop, z zapola? — szydzi Józek.

Roman zgubił hamulec i nazajutrz wygarnął nasze myśli Antkowi. Pobielały piegi na Antkowej gębie. Spojrzał pewnie, poważnie.

— Będę ją miał —powiedział— i spróbuję smaku przed ślubem.

— Antoś! Fiziumizia kupiłeś od Edzia?

— Ożenisz się, Antek? Ożenisz!...

— Posmakuję, ożenię się — odpowiedział Antek.

Przyczailiśmy się dla sprawdzenia.

Słońce tonie w lesie. Przez ten las przenika do wsi purpurowa zorza.

Idzie Antek z Helenką ku łąkom. Wchodzą w szczerwienione zachodem rokiciny. A my z boku, cichcem...

I rozkłada Antek kraciastą chusteczkę. Wyjmuje butlę „Złotego kura", herbatniki za dwa dziesięć. I trzask łapą w denko zielone.

— Podgazuje ją, rozmiętoli — mówi Józek.

— Jaki bystry! Jak woda w nocniku. Żadna sztuka tak — klnie Roman.

Antek leje sikacz do szklanki i podstawia Helence. Odsuwa pomiarówka rudo nakrapianą łapę. Antek cmok, cmok w rękę. I klęka. Więc wypija nieco Helenka. A wiewiórczak chlup w dziób za jej zdrowie, całusieńką szklanę. Pociągnęła i ona.

— Łapie cug — wzdycha Józek żałośnie.

Antek błądzi ustami po czarniutkich włosach. Łapczywy.. Już zjeżdża na kark. Odpycha go dziewczyna, ale słabosilnie... I wypija dopełnioną szklankę. Czarny blask paruje z jej oczu...

Kładzie Antek rudy łeb na białych kolanach. Patrzy w niebo, w czarne oczy przymglone. Wierzbową gałązką łaskocze ucho, szyję, podbródek dziewczyny.

— Śliczna jesteś, moja ty cyganicho czarnooka — szepce ciepło. — Będziesz, Heluś, moją żoną.

— Nie, nie będę, Antoś...

— Będziesz w wianku i welonce. Będą grać ci organy, świece będą płonać w całuśkim kościele — upiera się Antek.

— Przyjdzie ten dzień, Antoś, ta godzina przyjdzie, gdy odejdziesz ode mnie. Uciekniesz...

Dłoń włosiata w rudych cętkach ginie w fałdach sukienki. Tamte drobne dłonie w twarzy i we włosach Antka. Szarpią, biją, a potem ustają... Zaciskają się palce, wkręcają w te rudawe pierścionki. I spływają w pieszczocie na twarz, na kark Antka.

— Widzisz? Ma ją jednak, skubaniec! — klnie Roman.

— Nic, tylko szczęść Boże powiedzieć — mruczy Józek.

— Chodźcie lepiej do domu — mówię — gorzko mi trochę.

Przez dwa dni nie było Antka przy pomiarach. Kłębiła się w nas złość, Helenka smutniała. Wreszcie wyjechała.

Dopadliśmy Antka przed sklepem. Sztywny był.

— Łazisz, jakbyś kij połknął — mruknąłem.

— Zostawiłeś dziewczynę — powiedział Roman.

— Gówno wam do tego, zrozumiano? Ale mogę wam powiedzieć, że jej nie zostawiłem. Zachodziłem w każdy wieczór. I ona przyjedzie w niedzielę. Ożenię się z nią...

— Ciekawe — bąknął Józek.

Nie dopatrzyliśmy się jednak powrotu Helenki. Przeklinałem bowiem Jankę, lecz ciągnęło mnie do niej jak diabli. I nie wytrzymałem. Poszliśmy z Józkiem i Romanem do tej wsi za lasem. Dołączył do nas fiziumiziu Edzio i trzech młodszych knotów.

Wyjeżdżaliśmy już z lasu, kiedy wpadł na nas jadący z powrotem Roman.

— Co się stało? Pali się we wsi?

— Nie, tylko Helenka...

— Co Helenka?

— Idzie ku osadzie i płacze... Gadać ze mną nie chce.

— A Antek?

— Bo ja wiem? Nie widziałem...

— Nie mogłeś jej podwieźć?

— Nie mogłem...

— Nie chciała?

— Eee... Przecież z dzieckiem jej nie wezmę.

— Z jakim dzieckiem? — zdenerwował się Józek.

— No, dziewczynka, ze trzy lata ma. Skacze jak wróbelek, mlecz przejrzały zrywa z rowów.

— To tak... — mruknąłem.

Przez twarz, dłonie Józka posypało mącznie.

— Idź, Janka, do domu — rozkazał.

Poszła. A my wstąpiliśmy do chałupy Antka.

— Chłopaki, poradźcie coś — zachlipała matka. — Nie usłuchał mnie, odpędził dziewczynę. Już takiej nie znajdzie. Kształcona... A dla jednej małej gębusi starczyłoby jadła... Dziecko nic niewinne...

Weszliśmy do sadu. Siedzi Antek na pniaku i płacze. Mało co z półbasa trzyma między kolanami.

— Nie chlip — mówię — nie udawaj. Ostatni raz posikałeś się oczami na pogrzebie ojca.

— Kiedy głupio cholernie, nic się nie układa...

— Czemu, Antoś? — pyta Roman ziadliwie.

— Bo ona z przychówkiem...

— Aleś ty ją strasznie kochał!

— Pędziłeś nas od niej...

— Bom głupi!

— W rokicinach mądry byłeś — mówię. — Dałeś jej na omroczenie i wziąłeś...

— I ślicznie tam przemawiałeś...

— Taka ładna dziewczyna — westchnął fiziumiziu Edzio.

— Źle, Antoś. Wielka świnia z ciebie.

— A ty byś się z taką ożenił?

— Kto wie, Antoś, kto wie?...

— Koniec gadki. Mordę trza mu skuć — mówi Józek spokojnie.

I sypnął poniżej pasa. Antek klap! Pałąkiem na trawę. Matka krzyczy z podwórza. Podniosłem Antka za włosy. Józek z Romkiem dali mu po dwa strzały, i szlus. Sprawiedliwość być musi.

Doturlała się matka.

— Żal mi ciebie, synku, ale dobrze ci — chlipnęła.

Pochyliła się ku leżącemu. Antek stęknął, przycisnął dłoń matki do ust. Na jego ciemniejącą pod oczami twarz przez liściastą koronę księżyc sypnął garść zimnego srebra.

WOJCIECH KAWIŃSKI

★ ★ ★

przejrzystość nocy jest nam
obojętna;
chmurny gmach
nienasyconych drzew
leży naprzeciw
piaszczystego królestwa
a czułe lustro
nadjeziornych trzcin
zapominać każe
o zbliżającym się pośpiechu;

Jest w nas absolutna
pewność zwyczajnych głodów
nasyconych ciepłem
powracającego wiatru
i zarazem

niejasne przeczucie
zamkniętego ładu
przerzedzonych lądów
na które wstępuje cienka nić
ustokrotniony wybuch
wiedza następujących po sobie
strzępów sekund
oddech
oczyszczonego, z obecności
kształtu — — —

ZDZISŁAW JASKUŁA

Ciemność

Ta piękna ciemność Kobieta z pochodnią
lub chustką — pokonana przez odległość i posłuszne serce —
odbywa samotny spacer Nie nadejdzie
oczekiwany Żegnany odszedł i nie wróci
A jeszcze dzieje się miłość dwojga śmiertelnych
nad milczącym morzem

Ukochany — mówi kobieta i upuszcza pochodnię lub chustkę
Ukochany — mówi kobieta i przychyla usta ku wodzie
IV.71.

KRYSTYNA JĘDRZEJEWSKA

Maharadża

oczy
pozbawione błogosławieństwa snu
daje nam
przez płynne szkło
usta nieugaszone
przeciwko nam
z sercem zaprzysiężonym
przez płynne szkło
dłońmi podsyca płomień
samotny
wśród gwiazd

ANDRZEJ GRUN

Brzozy

Za oknem szereg białych brzóz
i białych brzóz wciąż nowy szereg
Peronów pustych smutek trwa
Nic nie rozdzieli szyn — kolein
Pociągiem — widmem jedziesz w świat
Ja w inny świat pociągiem innym
I tylko białych szereg brzóz
Nas łączy —
Winnych czy niewinnych

Rys. L. Woźnicki

MIECZYSŁAW KUCNER

POWRÓT DO WIERSZY

Uważny czytelnik „Odgłosów" miał okazję przeczytać w drukowanych na przedostatniej kolumnie felietonach Sztajnerta taką charakterystykę człowieka współczesnego: „...świadomy własnych możliwości i pozbawiony świadomości własnych granic" (Wszystko). Przywołanie tutaj Sztajnerta-felietonisty jest zabiegiem celowym, ponieważ materia jego wierszy i felietonów, powieści i opowiadań powstaje z tych samych w gruncie rzeczy zamierzeń: tropienia tego, co potocznie nazywamy rzeczywistością, życiem, osobowością, słowem tego wszystkiego, co wintegrowane pomiędzy podmiot i przedmiot tworzy świat rzeczy i świat wartości.

W takiej sytuacji nowy zbiór wierszy *) Sztajnerta potraktować możemy jako propozycję określonego ładu, syntetyczną próbę ogarnięcia różnorodnych aspektów ludzkiego istnienia, kolejny wariant całościowego spojrzenia na sprawy życia i śmierci. Że tak jest w istocie, przekonuje nas lektura jego wierszy. Sztajnert stara się być zgodny bardziej z pewnymi nurtami myśli współczesnej, niż z wybraną tradycją sztuki wierszowania. Pod tym względem propozycja poetycka Sztajnerta jest samodzielna, pozostająca w określonym stosunku do wiedzy o świecie, uprawianej poza terenem swoistych działań poetyckich. Przy tym jest to propozycja oryginalna, gdyż — jak już wspomnieliśmy — nie czerpie inspiracji z poetyk tradycyjnie nowoczesnych. Wypada zatem określić, na czym polega wartość tej propozycji, w jakim stopniu odpowiada ona naszym oczekiwaniom.

Sztajnert atomizuje istnienie: dla niego życie, równoznaczne z istnieniem, składa się z nieskończonej ilości zdarzeń rozpiętych między pierwszym krzykiem nowo narodzonego dziecka, a przedśmiertnym westchnieniem umierającego. Właśnie, pomiędzy decyzją a przypadkiem, pomiędzy harmonią a chaosem rozgrywa się ludzki dramat. I nie jest to wcale kaprys natury czy nasza nieumiejętność znalezienia się w świecie, lecz ontologiczny warunek istnienia. Nic więc dziwnego, że specjalna rola przypada ludzkiemu podmiotowi — współtwórcy świata i nosicielowi znaczeń i sensów przekształcających ten świat w przedmiot motywacji. „Mamy wszystko oprócz myśli I nic oprócz myśli..." (Poeci II) — dochodzi tu nawet do utożsamienia świadomości (myśli) z bytem (światem zewnętrznym). W tej dziwnej grze, jaką wiedziemy ze światem, człowiek jest zawsze stroną czynną, dom, zwykły drewniany dom „Ma kształt zgarbionych pleców cieśli" (Cieśla). Uprzedmiotowieniu podlegają nawet podstawowe kategorie rzeczywistości: „Czas ma ręce związane przestrzeń usta zamknięte" (Matka).

W „Obecności" mamy wiersze uwikłane w kontekst historyczny (Radogoszcz, Bój pod Ewiną i inne), ale i tutaj człowiek ukazany jest w działaniu „w tożsamości z ziemią", przenika w „światło nad czeluścią", w ogień... W tym sensie wiersze Sztajnerta odczytać możemy jako manifestację nieufności wobec psychologizmu i jego pochodnych, wobec aprioryczných spekulacji na temat różnych „jakości" człowieka. Istotnie, Sztajnert zgodny jest z ustaleniami współczesnej wiedzy, szczególnie biologii, mechaniki kwantowej i teorii względności, kiedy eksponuje aktywną rolę podmiotu w procesie „uczłowieczania" świata. W takim ujęciu człowiek jawi się nam jako istota heroiczna, obdarzona mocą sensotwórczą. W ten sposób autor „Obecności" sytuuje się na gruncie antropologii kultury — w jej odmianie bliskiej refleksji egzystencjalistycznej. Rzecz godna uwagi w okresie, kiedy poezja, pozbawiona ożywczych prądów z zewnątrz, gubi się w sprzecznościach własnych, grzęźnie między słowem a rzeczą. Wydaje się jednak, że Sztajnert, posiadłszy ową zdolność nazywania i wartościowania, poddaje się niekiedy zafascynowaniu, zapominając, że w zbiorze o nieokreślonej ilości wybór n-tej możliwości do nas należy, lecz nie mamy wpływu na konsekwencje tego wyboru.

*) Bernard Sztajnert: „OBECNOŚĆ", Wyd. Łódzkie, 1970 r.

EWA OSTROWSKA

SĄDNY DZIEŃ

Witold Piechocki — tłumacz, publicysta i prozaik, prawnik z wykształcenia i sędzia z zawodu, w odautorskim wstępie do swojej najnowszej książki, zbioru pt. „Sądny dzień", zastrzega od razu, że książka ta: „...Zawiera utwory, którym tematu dostarczyły rozprawy sądowe. Nie są to jednak opowiadania kryminalne ani też tak dziś popularne reportaże z sali sądowej".

Piętnaście utworów Piechockiego, zamieszczonych w niewielkiej objętościowo książce, nie stanowi rzeczywiście ani zbioru opowiadań kryminalnych, ani — strata to istotna, niepowetowana — „zwykłych" reportaży z sali sądowej. Zastrzeżenie Piechockiego, aby go broń Boże, nie posądzić o uprawianie tak pospolitej twórczości, obraca się w konsekwencji przeciwko niemu samemu. Zaprezentowane bowiem utwory nie posiadają już żadnego charakteru — ze względu na formę, stylistykę i kompozycje dalekie są od gatunku literackich opowiadań, a mimo bogatego i dramatycznego materiału faktograficznego nie pozwolą się również zaszeregować do kategorii reportaży publicystyczno-społecznych, chociaż Piechocki wyraźnie w tym kierunku oscyluje, zapowiadając właśnie w swoim wstępie, że „...przedstawione sprawy stanowią jedynie pretekst do ujawniania osobowości przestępcy, tła, okoliczności, motywów popełniania czynów karalnych".

Stwierdzenie ważkie, zobowiązujące. Piechocki określa jednoznacznie ideę przewodnią swoich utworów, a my mamy prawo spodziewać się, że ją spełni, oczekujemy tego od autora — na próżno. Piechocki wyjaśnia nam jedynie sam mechanizm procedury sądowo-śledczej, postępowań prawnych; obficie cytując we wszystkich utworach fragmenty zeznań świadków, uzasadnień takich czy innych wyroków, postanowień sądu, opinii biegłych i etcetera, etcetera. Z jednej strony więc — lektura fascynująca i pobudzająca do refleksji; z drugiej — budząca niedosyt zwłaszcza po tych wszystkich zastrzeżeniach i obietnicach, jakie autor uczynił zaraz na wstępie. Próby uogólnień, syntez czynione niekiedy przez autora są tak nie przekonywające, że trudno doszukać się w nich jakichkolwiek „ujawnień osobowości przestępcy" ani tym bardziej — zapowiadanych również przez Piechockiego — „istotnych zagadnień dotyczących stosunków międzyludzkich".

I tak, na przykład, jedna z najbardziej wstrząsających opowieści — „Nienawiść", którą Piechocki wykłada suchym prawniczym, a nawet urzędowym językiem; relacja ze zbrodni popełnionej przez alkoholika-zwyrodnialca, zepsuta została komentarzem samego autora.

Nałogowy alkoholik, maltretujący żonę i dzieci, zabija czteromiesięczną córeczkę. Nie przyznaje się cynicznie do winy, chociaż na rozprawie sądowej ta mu zostaje udowodniona, a czteroletnia córka, na oczach której dokonał zabójstwa, demonstruje w sądzie przy pomocy swojej zabawki: pluszowego misia sposób, jak „tatuś to zrobił": „...wyjął Małgosię leżącą w kołysce za nóżki i uderzył nią o podłogę". Biegli psychiatrzy stwierdzili, że oskarżony nie był ani umysłowo chory ani umysłowo niedorozwinięty.

W zakończeniu relacji z przebiegu zbrodni i procesu, Piechocki przytacza fragmenty grypsu, jaki przestępca wysłał z więzienia do żony: „...Rozpaczam, ale już nic nie da się zmienić. Teraz zostały mi tylko żelazne kraty... Sam zawiniłem. Nie będę słyszał słów Twoich, tak jak nie wróci już nasza kochana Małgosia. Przestań mnie kochać. Ostatni mój dla Ciebie pocałunek..." — po to, aby umieścić swój lapidarny komentarz: „Gryps ten wyjaśnia chyba wszystko".

Co wyjaśnia? Osobowość zwyrodniałego alkoholika, który wyjął z kołyski czteromiesięczne dziecko i roztrzaskał mu główkę? Przyczynę popełnienia zabójstwa? Motyw? Tło? Okoliczności? Czy mamy może zaszlochać sobie nad sprawcą, ponieważ z więzienia śle w grypsie „ostatni pocałunek"?

Trzeba więc odrzucić całą fasadowość wstępu, na którą w tomie nie ma — i nie mogło być — pokrycia; przeciętna wielkość jednego utworu wynosi do pięciu stron; jak zmieścić w takiej objętości i relację o przebiegu przestępstwa, i ujawnić osobowość przestępcy, i jeszcze zanalizować okoliczności, motywy? Zresztą, trudno pakować wszystko hurtem do jednego worka, po prostu worek się przerwie, a i udźwignąć go — sztuka.

Czym więc jest w końcu tom Witolda Piechockiego? Klęską autora? W żadnym wypadku, lecz pod warunkiem, że utwory zaprezentowane w „Sądnym dniu" przypisze się do gatunku Pitavali. I tak właśnie należy „Sądny dzień" traktować — jako interesujący Pitaval Mazurski. Rzeczowość narracji, autentyzm tematyki, znajomość przedmiotu są niewątpliwymi wartościami tej książki.

*) Witold Piechocki, SĄDNY DZIEŃ, Wyd. Łódzkie 1971 r.

BOLĄCZKI MOJEJ DZIELNICY MOJEGO ZAKŁADU MOJE WŁASNE

Redakcja „Odgłosów" zwraca się do Czytelników z propozycją wzięcia udziału w stałej, nie ograniczonej żadnymi terminami akcji. Chodzi mianowicie o to, abyście zechcieli nadsyłać do naszej redakcji swoje uwagi i przemyślenia o tym, co dzieje się w Waszej dzielnicy, w Waszym zakładzie pracy, w Waszym życiu. Na pewno tam, gdzie mieszkacie i pracujecie, dzieją się rzeczy ciekawe, rzeczy dobre i złe, na pewno macie osiągnięcia i porażki, odczuwacie kłopoty i niedostatki, które zatruwają życie Wam i Waszemu otoczeniu. Usiądźcie i napiszcie o tym do naszego pisma. Bądźcie współinicjatorami naszych poczynań. Uznajcie „Odgłosy" za swoje pismo.

Wasze wypowiedzi ułożą się niewątpliwie w ciekawy obraz dnia powszedniego naszej rzeczywistości, posłużą do lepszego jej zrozumienia, do wniknięcia w istotę przemian, a przede wszystkim zachęcą do refleksji i działania. W końcu chodzi o to, aby nasze codzienne życie uczynić lepszym i znośniejszym, aby tzw. stosunki międzyludzkie układały się lepiej niż dotychczas.

Ciekawe wypowiedzi będą publikowane na łamach „Odgłosów".

A więc — czekamy na Wasze opinie, osądy, propozycje.

REDAKCJA

Przeszłość i teraźniejszość

Waliszewski historyk nieznany

Na przełomie stuleci jego książki cieszyły się ogromnym powodzeniem. Anegdotyczno-plotkarskie tomy o rządach kobiet i faworytów, o tajemnicach dworu carskiego w wieku osiemnastym, sukcesach erotycznych Katarzyny II i alkowianym mechanizmie kariery wielu rosyjskich wielmożów podbiły mieszczańskiego czytelnika w epoce fin de siecle'u, fascynowały egzotyką, urzekały potoczystością narracji. Pisane po francusku, publikowane przez najprzedniejsze domy wydawnicze, były często wznawiane i tłumaczone na inne języki — niemiecki, angielski a zwłaszcza rosyjski. Przed pierwszą wojną światową doczekał się Waliszewski ogłoszenia w Rosji swych dzieł zebranych

Dla obcokrajowców jest Waliszewski autorem polsko-francuskim, choć wiadomo, że nie przestał być Polakiem. Urodzony na Kujawach, odbył studia we Francji i rychło jął się pracy pisarskiej. Chociaż wśród jego wczesnych publikacji wiele jest dzieł, ogłaszanych po francusku, równie dużo drukował zrazu po polsku a i większość obcojęzycznych publikacji poświęcał z początku tematyce polskiej. Dopiero, kiedy na polu historii ojczystej doznał klęski, zwrócił się intensywniej ku tematyce rosyjskiej, która pochłonęła go z czasem całkowicie, wyrobiła pozycję poczytnego pisarza francuskiego, przyniosła znaczne korzyści materialne. Żył w Paryżu na marginesie polskiej emigracji, która nie okazywała mu sympatii odkąd mu się powiodło.

Sami historycy polscy walnie przyczynili się do tego, że Waliszewski został wbrew swoim pierwotnym zamiarom autorem piszącym w języku francuskim. Młody historyk miał już na swym koncie interesujące badania źródłowe nad stosunkami polsko-francuskimi w dobie Sobieskiego, kiedy skierował swe zainteresowania ku najżywiej podówczas dyskutowanej problematyce, zajął się mianowicie zagadnieniem upadku Rzeczypospolitej. Byłoby to jeszcze pół biedy, gdyby szedł po drodze, którą mu wskazywał jeden z koryfeuszy krakowskiej szkoły historycznej Józef Szujski. Waliszewski jednak postąpił inaczej. W rok po ostrym ataku na tendencję pesymistyczną podwawelskiego dziejopisarstwa, z jakim wystąpił w Warszawie Władysław Smoleński (1886), ogłosił Waliszewski tom pierwszy i jedyny swego dzieła „Potoccy i Czartoryscy. Walka stronnictw i programów politycznych przed upadkiem Rzeczypospolitej 1734—1763" (1887), w którym bodaj jeszcze ostrzej, a w każdym razie nie przebierając w słowach poddał krytyce historyczne treści, rozpowszechniane przez krakowski kierunek historiograficzny. Zarzucał Kalince, Szujskiemu a zwłaszcza Bobrzyńskiemu koniunkturalizm polityczny, serwilizm w stosunku do interesów państw zaborczych, wykorzystywanie historii dla uzasadniania konieczności rozbiorów, podkreślał, że jego zdaniem Polak nie może się wyzbyć „wszystkich tych ideałów, którymi żył i przez które był bądź co bądź wielkim. Alboż pierwszym obowiązkiem polskiego historyka i polskiego męża stanu nawet — pisał — nie jest być Polakiem i zrozumieć wszystko, co polskie?". Godził w historyczny pesymizm kierunku podwawelskiego i dowodził, że „nie nam jednym trafiło się ulec w nierównej walce i nie mamy powodu, tak sądzę, wstydzić się przed drugimi naszej doli, jak nie mamy powodu wstydzić się naszych grzechów". Brak bowiem podstaw po temu, by za szkołą krakowską i jej adherentami uważać ów stan polityczny, w jakim znajdowali się podówczas Polacy, za ostateczny i trwały. „W życiu narodów każda niemal z wielkich historycznych kwestii — pisał — jest zarazem kwestią polityczną, kwestią wczorajszego dnia czy odległej epoki, ale może kwestią dzisiejszą, albo kwestią jutra". W imię przyszłego jutra Polski, w imię nadziei niepodległościowych historyk przystępował więc do bojowania z wszechmocnym kierunkiem historiografii polskiej.

Bój trwał krótko, ledwie do początku lat dziewięćdziesiątych i Waliszewski wyszedł zeń pokonany. Nie argumentami naukowymi, lecz administracyjnymi. A było to tak. Pierwsza jego książka spotkała się z ostrą krytyką na łamach prasy naukowej, która stanęła w obronie zaatakowanych poglądów, na co historyk replikował, między innymi w niezmiernie ostrym artykule z 1888 roku, w którym dowodził, że wszystko niemal, co mają do powiedzenia historycy krakowscy, bierze się z wrogiej Polakom historiografii obcej. Waliszewski nie dawał za wygraną, a kiedy „Kwartalnik Historyczny" odmówił mu prawa odpowiedzi na postawione zarzuty, chciał je odeprzeć w referacie, który zgłosił na lwowski zjazd historyków. Cóż, kiedy i tym razem zadziałały siły zakulisowe, i naszego historyka po prostu nie dopuszczono do zjazdu. Wobec tego szybko ogłosił on arcypolemiczną, przygotowaną pośpiesznie książkę „Polska i Europa w drugiej połowie XVIII w." (1890). Organa oficjalnej nauki historycznej skwitowały ją krótkimi recenzjami, krakowska Akademia Umiejętności wzorem „Kwartalnika" zerwała z wyklętym autorem wszelkie stosunki, przerywając (na zawsze) publikację zebranych przezeń dokumentów z czasów Sobieskiego. Dla spokoju galicyjskiej historiografii winien był Waliszewski zostać historykiem emigracyjnym — mieszkał wszak we Francji — najlepiej francuskim, nie zakłócającym w niczym harmonijnej atmosfery c.k. historycznej nauki.

Wszystko to zaważyło na drodze życiowej niepoprawnego polemisty. Mimo jednak klęski, jaką poniósł w sporze z kierunkiem krakowskim, nie zrezygnował ze swych poglądów. U progu odzyskania niepodległości — w 1919 roku — ogłosił po francusku i angielsku piękną książeczkę o Polsce — kraju nieznanym, w której wracając do swych dawniejszych myśli wskazywał, że w nowych warunkach rewizja pesymistycznej doktryny kierunku krakowskiego jest absolutnie konieczna. Wtedy jednak twierdził podobnie nawet sam Bobrzyński.

JÓZEF GRZELAK

A. May — Robinson, St. Zatłoka — Karl Rossmann, i B. Sochnacki — Delamarche
Fot. A. Brustman

WŁADYSŁAW ORŁOWSKI

Ameryka z koszmarnego snu

Zastanawiam się, w jaki sposób przeprowadzić analizę tego przedstawienia, które stara się być przedłużeniem scenicznym metafory literackiej Franza Kafki Tak, przedłużeniem scenicznym, a nie przeniesieniem powieści na scenę. Odtworzyć bowiem na scenie „Amerykę" Kafki — to zamierzenie zgoła nie do zrealizowania.

Jean-Louis Barrault, znakomity aktor, mim i artysta zintegrowanej sztuki teatru, jest właściwym autorem tego widowiska, od niego więc należałoby zacząć. Nie zamierzał on z pewnością, sięgając po wczesną powieść Kafki, spełnić funkcji ilustratora, wpisującego między jej wiersze ruchome obrazy sceniczne. Pisarstwo Kafki, w swoim czasie nowatorskie, rozsadzające zmurszałe XIX-wieczne struktury powieściowe, spełniło w stosunku do Barraulta rolę inspirującą. Było dlań przedsionkiem wiodącym do własnej wypowiedzi artystycznej. Wypowiedzi przez scenę.

Jeśli zechciałoby się zredukować charakter pisarstwa Kafki do czynnika najelementarniejszego, trzeba by powiedzieć, że w każdym utworze stara się on wyrazić — to za słabe słowo! — wykrzyczeć siebie: wszystkie swoje gorzkie doświadczenia i obsesje, całe swoje poczucie obcości w świecie. Dążąc do tego celu, z wyników swoich nie był zadowolony.

Barrault wydaje się dobrze rozumieć oblicze cywilizowanego świata w edycji Kafkowskiej: ogarniające przerażeniem i budzące sprzeciw. Jego galeria postaci scenicznych czy ekranowych, którym użyczał swych dyspozycji fizycznych i duchowych, wyrażała najczęściej tę samą co u Kafki bezradność dziecka, przestrach, ból i nieprzystosowanie do otaczającej go brutalności i nietolerancji. Wiele z tych treści wypowiadał samą jakże wyrazistą mimiką wybierając niemy protest tam gdzie zawodzą słowa. Wspomnę tylko dla przykładu niezapomnianą rolę żałosnego odmieńca Baptysty w filmie Marcela Carne „Romans pajaca".

Adaptację „Ameryki" (podobnie jak adaptację teatralną „Procesu" Kafki) wykonał więc Barrault dla siebie jako aktora, znajdując w powieści materiał współbrzmiący z własnym doświadczeniem życiowym i artystycznym. Protagonista powieści Karl Rossmann stanowi wygodną ramę, którą Barrault wypełnił w przedstawieniu paryskim sobą, ożywił własnym krwiobiegiem, uwrażliwił superczułym systemem nerwowym. Tylko dzięki temu mógł powstać sceniczny ekwiwalent „Ameryki".

Czy sukces ten jest jednak do powtórzenia bez tak wybitnego wykonawcy? Sama materia powieści buntuje się przeciw zabiegom adaptacyjnym, naruszającym całość autorskiego słowa. Buntuje się przeciw cięciom, pod których uciskiem wycieka bezpowrotnie poetycka metafora, a pozostają wytłoczyny dosłowności. Dlatego przeciwny jestem samemu wyborowi adaptacji „Ameryki" na scenę Teatru Nowego i obsadzeniu w roli Karla Rossmanna młodego aktora Stanisława Zatłoki.

Rossmann jest przecież w „Ameryce" jedynym receptorem rzeczywistości wyśnionej, zdeformowanej i pokrętnej. Inne postaci to tylko znaki w tym koszmarnym alfabecie odczytywanym przez Rossmanna. Pojawiają się i nikną na zasadzie wymienności, nie mają własnego życia. Sens nadaje im główny bohater.

Powiedzmy sobie szczerze, rezerwując cały szacunek dla rzetelnego wysiłku aktora, że temu zadaniu nie sprostał. Rossmann w wykonaniu Zatłoki to jakby rama bez portretu, brak w nim takiego życia scenicznego, które stanowiłoby równowartość pierwowzoru realizującego się literackimi środkami na kartkach powieści.

Zygmunt Huebner, reżyserujący gościnnie „Amerykę" — wraz z autorami oprawy scenicznej E. i F. Starowieiskimi — przyjął słuszną koncepcję inscenizacyjną spektaklu Ponieważ całość rozgrywana jest w jednym psychoanalitycznym planie, wystarczyła jednolita konstrukcja metalowa, by wpisać w nią na różnych poziomach poszczególne mikroscenki. Konstrukcja ta sprawdzała się szczególnie, gdy wzmagał się ruch sceniczny, przenosząc się z piętra na piętro.

Główna słabość przedstawienia tkwi więc w aktorstwie. Mści się tu może brak treningu w pracy nad tego rodzaju tekstem. Kafka buduje przecież swój świat kreowany z potocznych, banalnych aż realiów i dopiero później, jakby za czarodziejskim dotknięciem pałeczki Prospera, ujmuje całość w cudzysłów filozoficzny, nadający przedmiotom ex post inną wartość. Tego prestidigitatorstwa zabrakło na ogół wykonawcom. W rzadkich momentach udawało im się przebić przez osłonę obiegowej logiki i funkcjonować na zasadzie mar sennych.

Nie pomogła, niestety, muzyka i przerywniki-songi. Abstrahuję już od tego, że zawiodła strona wokalna. Gorzej, że songi nie poszerzały wymowy przedstawienia, ani nie przyczyniały się do jego poetyckiej nobilitacji. Spełniały jedynie funkcję ilustracyjną i hamującą.

Z wykonawców, którzy zapisali się pozytywnie w mej pamięci, wymienić chciałbym na pierwszym miejscu Ewę Zdzieszyńską za jej surrealistyczną w charakteryzacji i zachowaniu postać śpiewaczki Bruneldy. Zbliżyli się do konwencji sennych znaków: Ryszard Dembiński (pan Green, Starszy Portier), Zygmunt Malawski (senator Jakob, Starszy Kelner), Bogusław Sochnacki (Delamarche) i Andrzej May (Robinson).

Przeglądam raz jeszcze, to co napisałem powyżej i dochodzę do wniosku, że ogólna ocena przedstawienia wypadła negatywnie. A przecież taka konkluzja nie oddawałaby wiernie moich odczuć. Wolę takie przedstawienia od „letniej wody" i poprawności. Jest się przynajmniej o co pospierać.

*) Państwowy Teatr Nowy: Franz Kafka „AMERYKA"; adaptacja — Jean-Louis Barrault; przekład — Juliusz Kydryński; reżyseria — Zygmunt Huebner; scenografia — Ewa i Franciszek Starowiejscy; muzyka — Stanisław Radwan; premiera prasowa — 13 IV. 1971 r.

MIECZYSŁAW STOLARSKI

Z woleja

Jaki pan, taki kram...

Przykre to, ale niestety coraz częściej czuję się zmuszony do pisania negatywnie o działaczach sportowych. Powodem są smutne okoliczności wychodzące raz po raz na jaw, a świadczące o co najmniej niepoważnym traktowaniu przez niektórych działaczy problemów sportu. Aby nie było nieporozumień zaznaczam od razu, że poniższe uwagi dotyczą tylko części osób zajmujących się zawodowo bądź społecznie sportem. Nie chciałbym tutaj dotknąć sporej armii działaczy z prawdziwego zdarzenia, którzy niemałym wysiłkiem, w trudnych wielokrotnie warunkach sport budują od podstaw. Jak mi wiadomo z praktyki, właśnie ci najofiarniejsi pracują zawsze w cieniu.

O tym, że polski boks znajduje się w poważnym impasie, wiadomo było nie od dziś. Piękne sukcesy naszych bokserów przeszły już do historii, a dzień dzisiejszy — to przede wszystkim cięgi, jakie dostajemy na ringach całej Europy. Stan ten sygnalizowała wielokrotnie prasa sportowa i nie tylko prasa. Ale niestety, sygnały te zdawały się nie docierać do pewnej grupy działaczy, która uwiła sobie „ciepłe gniazdko" w PZB i dawno zapomniała o swoim naczelnym zadaniu, które jest jedynym potwierdzeniem racji jej bytu: o opiece nad powierzoną społecznie dyscypliną sportu. Efekt taki, że w pięściarstwie polskim wytworzył się bałagan, regułą stały się fakty wygrywania walk przez gospodarzy, czy „robienia" przez zawodników wagi, oczywiście za pieniądze itp. Wreszcie ktoś wpadł na pomysł, by skontrolować działalność tych panów, której to kontroli efekty znamy.

Pisząc o tym, aż się prosi skierować organa kontrolujące do innych związków sportowych i „dobrać się do skóry" podobnym działaczom. Zbyt wiele jeszcze w sporcie polskim jest ludzi, którzy nie powinni w nim pracować.

Z drugiej jednak strony kto ma się tą kontrolą zająć? Wydawałoby się, że Główny Komitet Kultury Fizycznej. Nie jestem jednak pewien, czy pracownicy rzeczonej instytucji wystarczająco orientują się w aktualnej sytuacji polskiego sportu. Na potwierdzenie owych przypuszczeń konkretny fakt: otóż ostatnio odbyło się spotkanie działaczy GKKFiT z działaczami narciarskimi. I cóż się okazało? Nasze władze sportowe niewiele wiedzą o stanie polskiego narciarstwa, które po objęciu nad nim patronatu przez wojsko całkiem nieźle się rozwija. Tymczasem GKKFiT — co jasno wynika ze spotkania — nie ma w ogóle żadnej koncepcji odnośnie rozwoju tej właśnie dyscypliny, nie zajmował się licznymi dezyderatami i monitami nadsyłanymi tam przez PZN. Smiechem skwitowali zebrani oświadczenie przedstawiciela GKKFiT, że instytucja ta widzi możliwość zajęcia się narciarstwem, rozpatrzy plan jego rozwoju i ewentualnie zatwierdzi go po 1972 roku. Jeżeli mamy takie „ministerstwo od sportu", to nie należy się dziwić, że w tej dziedzinie zamiast iść naprzód — stoimy w miejscu. Któż więc ma u nas ten sport „robić", kto ma się nim opiekować? Oczywiście, działacze, ale jacy? Czy ci, którym „polecono" zostać działaczami sportowymi z racji zajmowanego przez nich wysokiego stanowiska w przemyśle czy administracji państwowej? Wprawdzie wśród nich znajdują się także i prawdziwi miłośnicy sportu, niemniej jednak cały ich wysiłek skierowany powinien być w stronę budowy gospodarki narodowej. Tymczasem wielokrotnie wysokie stanowiska w hierarchii sportowej zajmują ludzie nie znający się na sporcie zupełnie, lub — jeszcze gorzej — ci, którym się wydaje, że na sporcie się znają. Smutne to, ale prawdziwe.

Nie jestem bynajmniej przeciwnikiem pracy społecznej w sporcie, chociaż moim zdaniem, większość prac w klubach powinni wykonywać ich pracownicy etatowi. Nie może się obejść bez działaczy społecznych, jednak nad metodami ich doboru należałoby się poważnie zastanowić.

Portret młodego Brechta

Siedemdziesięcioletni dziś Rudolf Fernau prowadził przez dziesiątki lat dziennik, który obecnie opracował w celu wydania wspomnień. Rozdział przyszłej książki ukazał się w „Friedenauer Presse" pt. „Prapremiera „Baala" Berta Brechta, dn. 9 grudnia 1923 r. w Starym Teatrze Miejskim w Lipsku". (Brecht liczył wówczas 24 lata). Nasza wersja tego nader interesującego opowiadania różni się od oryginału tym, że rezygnuje z nieistotnych zawiłości.

Koniec listopada 1923 roku. Lipsk pod grubą warstwą śniegu. Dyrektor teatru, dr Kronacher, szybką decyzją zapewnił sobie prapremierę „Baala" Berta Brechta, cudownego dziecka literatury. Próby były już w pełnym toku, kiedy wręczono mi rolę Jana. Język tej szalonej ballady, a szczególnie wiersze: „Gdy w białym łonie matki wyrastał Baal"... tak mnie zafascynowały, że natychmiast nauczyłem się ich na pamięć.

Cienie wielkich wydarzeń! Ale tym razem był to smukły, o szczególnym wdzięku cień, który padł na deski lipskiego Teatru Miejskiego.

Przyjedzie? Nie przyjedzie! Już jest! Wcale nie przyjedzie! — takie pogłoski krążyły jeszcze przed południem. Kronacher na wszelki wypadek zarezerwował pokój w feudalnym hotelu „Fuerstenhof".

No, i przyjechał. Nie spostrzeżony stał z Kronacherem w cieniu sceny, ale już po chwili skupił na sobie uwagę wszystkich. Z wyszukaną uprzejmością podał każdemu rękę i poprosił, by rozpoczęto próbę. Prezentował się nieco dziwnie, prawie tak, jak gdyby w kostiumie i masce przybył na generalną próbę. Nie ogolony, w wytartej, skórzanej kurtce, w kordowych, straszliwie wymiętych spodniach, spod których wysuwały się jesienno-szare gacie. W ręku trzymał tanią cyklistówkę. Na ładne czoło zwisały kosmyki włosów z krótko ostrzyżonej głowy. Pod nieco spiczastym nosem układały się ironicznie usta o cienkich wargach. Ciemne, ostro spoglądające oczy. Usiadł. Z brązowego, płóciennego futerału wyciągnął okulary w stalowej oprawie, takie, jakie kasa chorych przydziela bezrobotnym. Ze skromną stanowczością ponownie poprosił, by rozpoczęto. Nie trwało długo — i przerwał próbę. Szwabsko-bawarską intonacją powiedział, że „Baala" nie napisał w duchu ekspresjonizmu, lecz przeciwko niemu. Potem zaczął demonstrować nam dogmaty swojego epicko-naukowego teatru, rysując kontury wszystkich ról, przy czym ręce miał przyciśnięte do ciała i dreptał małymi kroczkami po scenie. — Każde zdanie jest takie ważne, jak cała sztuka — powiedział. Nie trwało długo i oczarował wszystkich wokół, przedtem nieufnych. Panie, które najpierw kręciły nosem, poddały się, pozbawione już własnej woli, stanowczej i wnikliwej tyranii jego sceniczno-teoretycznych zaleceń. Każdą z osób zaprosił oddzielnie do hotelu, by tam popracować nad rolami.

Kiedy po południu przybyłem do feudalnego pokoju, Brecht chodził tam i z powrotem, w chmurach dymu grubego cygara, które palił. Wszędzie kartki z notatkami, gazety. Usiedliśmy na skraju łóżka. Kiedy zaczął mówić, zauważyłem ślady fioletowego ołówka na jego języku, a na dolnej wardze brunatne pasma po nikotynie.

— Jan — powiedział — spogląda z ukosa, trzeba go grać jako złego człowieka. W pierwszej scenie wejdź szybko, ale śpiesz się powoli. — Było to pierwsze i jedyne poufałe ty, którym mnie obdarował. Ogarnęła mnie duma.

Masaż duchowy, któremu nas poddał, czynił próby coraz bardziej interesującymi i podniecającymi. Gdy w półmroku sceny siedział z założonymi rękami, obserwując nas jak myśliwy zwierzynę, wydawał się być jakimś tajemniczym emisariuszem. Z miejsca podejmował i rozsądzał sporne sprawy. Gdy z pedantyczną ścisłością obstawał przy wykonaniu swego naukowo-epickiego teatru, był podobny do buechnerowskiego anioła śmierci St. Just, wygłaszającego w Konwencie dogmaty, które jak gilotyny spadały na karki ogarniętych zgrozą deputowanych. Jego twarz świeciła wówczas radością intelektualnego okrucieństwa. W chwilę później zamieniał się w mrugającego, jezuickiego brata, który ciętą kazuistyką strzela swoimi macchiawelistycznymi replikami. Albo upodabniał się do chudej postaci swego uwielbianego Karola Walentina *), a zdarzało się też, że w bawarsko-barokowym ferworze gry zapominał o wszystkich swoich teoriach i poddawał się rozkoszom z teatralnej rupieciarni. Zafascynował i oczarował nas ten sympatyczny, niesamowicie lśniący kameleon.

W pewne niedzielne popołudnie, przed szkolnym przedstawieniem Tassa, Małgorzata Anton, grająca księżniczkę, obserwowała widownię przez otwór w kurtynie. Nagle odskoczyła. „Tam jest Brecht" krzyknęła przerażona i niepewnym krokiem podążyła do garderoby. Jeden z aktorów spojrzał na mnie wzrokiem pełnym potępienia. — Tego nam jeszcze brakowało! — powiedział. Premierą mojego ekspresjonistycznego, na rampie dreptanego Tassa zadałem teatrowi i sobie druzgocącą klęskę.

Długo przed końcem spektaklu miejsce Brechta świeciło pustką. Kiedy wyszedłem, spocony i na miękkich nogach, zastałem w portierni Kronachera z Brechtem, szpiconosym, nie ogolonym, ssącym cygaro. — Niech go pan nie zakatrupi! — powiedział Kronacher. Milcząc wy-

Listy do Redakcji

WIELCE SZANOWNY PANIE REDAKTORZE!

Przeczytałem — jak to czynię zawsze — z uwagą Pańską recenzję z książki Bolesława Dudzińskiego pt. „Wojenne wędrówki", w której Pan podkreśla brak bliższych wiadomości o Feliksie Halpernie. Ponieważ długie lata znałem Go osobiście i, że tak powiem, nieco z bliska, pozwolę sobie na kilka słów o Nim. Istotnie, prof. Feliks Halpern uchodził za bardzo dowcipnego, jak rzadko kto... ale nie tylko celował dowcipem...

1.

Feliks Halpern jest kompozytorem przedwojennej popularnej piosenki „Czarna Mańka", do której tekst napisał znany niegdyś łódzki dziennikarz-poeta, Czesław Gumkowski — po 1945 roku redaktor nocny „Głosu Robotniczego". Po raz pierwszy wykonywano „Czarną Mańkę" w Łodzi podczas gościny warszawskiego kabaretu „Czarny Kot" w 1916 r. — czyli dokładnie 55 lat temu.

2.

W czasie I wojny światowej Feliks Halpern był recenzentem muzycznym w „Kurierze Łódzkim". Jego sąd i opinia, choć nieraz „opatrzona" gorzkim, a nawet złośliwym dowcipem, zawsze wszystkich ciekawiły. Miałem to szczęście, że sąsiadowałem z Profesorem na koncertach i nieraz skromnie konfrontowałem swoje spostrzeżenia i uwagi z Jego... „Roma locuta — causa finita". Na jednym zaś z koncertów sławnego skrzypka, Eugeniusza Ysay'a, traf zdarzył, że siedziałem z Nim w jednej i tej samej loży w b. teatrze Sellina.

3.

Feliks Halpern wydał, zdaje się pierwszy w Polsce, staraniem księgarni Neumillera (kto dziś w Łodzi wie lub pamięta o takiej księgarni?) „Anegdoty o sławnych muzykach".

4.

Zacytuję dwa „dowci-pasy" profesora Halperna, których sam byłem świadkiem. Pierwszy: w cukierni Roszkowskiego siedzi otoczony gronem ciekawych Jego każdego słowa słuchaczy... siedzi oczywiście prof. Halpern, a wokół Niego: jeden aktor, jeden malarz, jeden dziennikarz, jedna lub dwie „nieprzytomne" i rozegzaltowane wielbicielki... Nagie ktoś wchodzi do cukierni — powiedzmy jakaś mniej lub więcej znana lub nie znana (ale raczej znana) postać — np. jakiś mecenas, amator-śpiewak lub śpiewaczka. Ten ktoś zbliża się — widząc prof. Halperna kłania się „uniżenie", profesor wyciąga rękę; osoba, która przyszła, kłania się „uprzejmie" jak na scenie na prawo i na lewo, siedzącym przy stoliku. Na co prof. Halpern: „To właśnie jest ten pan(i), o którym państwu jeszcze nie zdążyłem niczego ciekawego powiedzieć". Tableau!!!

5.

W 1939 r., gdy otwarto getto — postanowiłem razem z dyrektorem administracyjnym Polskiego Radia — Jarzębowskim — odwiedzić dwóch znakomitych muzyków: Teodora Rydera — dyrygenta (którego żona Niemka, poszła z Nim razem do getta i tam oboje zginęli) i oczywiście prof. Halperna. Zachodzimy pod otrzymany adres, na ul. Zgierską, ale nie zastajemy Profesora w mieszkaniu. Mówią nam: Profesor jest w ogródku, ale jeśli panowie sobie życzą, to chętnie go poszukamy. Prosimy! Po chwili wraca z ogródka uśmiechnięty prof. Halpern (widzę Go jeszcze dziś!), wita się z nami czule i serdecznie, niemal ze łzami w oczach i mówi tym swoim cedzącym sylaby, prawie prokuratorskim głosem: „Kochani moi — bardzo panom dziękuję za tę długą pielgrzymkę... Ale jak to? Przyszliście aż z miasta tu do getta... to wam tam Goethego za mało?"

Taki był Halpern! Paradoks, kalambur — to dla niego chleb powszedni...

6.

Namawia Pan Redaktor Bolesława Dudzińskiego do pisania wspomnień. I słusznie! Ale są jeszcze w Łodzi inni, którzy by w tej dziedzinie mieli niemało do powiedzenia. To: redaktor Mieczysław Jagoszewski, Józef Pilarski i już bardzo niewielu więcej. A tempus fugit... Otwórzcie w „Odgłosach" nową rubrykę „Wspomnienia łodzian o sobie i innych", a z pewnością z tej akcji wypłynie albo wyrośnie COŚ, o czym dziś nawet „filozofom się nie śni". Tymczasem o Łodzi najczęściej piszą ci, którzy ją znają dopiero od niedawna...

Pana Bolesława Dudzińskiego serdecznie pozdrawiam — ciekaw jestem, czy mnie sobie przypomina; chodziliśmy przecież razem do „łodzinskoj gimnazji", a osobiście mam Go przez tyle lat (prawie 60) we wdzięcznej pamięci.

Łączę ukłony i wyrazy poważania

Bolesław Busiakiewicz

Historycy łódzcy obradowali

21 ub. m. odbyło się walne zebranie sprawozdawczo-wyborcze łódzkiego Oddziału Polskiego Towarzystwa Historycznego. Działające czterdzieści trzy lata w Łodzi PTH skupia w swych szeregach 167 członków, co daje mu po ośrodku warszawskim, poznańskim i wrocławskim, czwarte miejsce w kraju.

Referat sprawozdawczy ustępującego zarządu jak i dyskusja, ukazały środowisko aktywnych badaczy i popularyzatorów dziejów Łodzi i Ziemi Łódzkiej. W okresie ubiegłej kadencji zarządu — członkowie PTH wygłosili blisko 60 odczytów o tematyce historycznej. Szczególnym zainteresowaniem cieszyły się prelekcje poświęcone dziejom najnowszym naszego regionu i historii współczesnej. Czołowe miejsce w problematyce odczytowej zajęła tematyka leninowska — co wiązało się z żywo obchodzonym w Łodzi rokiem leninowskim. Otworzyła go sesja naukowa zorganizowana przez PTH wespół z Wydziałem Propagandy KŁ PZPR.

22 czerwca 1970 r. historycy zorganizowani w PTH wspólnie z Muzeum Ruchu Rewolucyjnego w Łodzi przypomnieli w formie sesji popularno-naukowej wydarzenia rewolucyjne z 1905 r. W listopadzie ub. r. razem z Zakładem Historii Polski Feudalnej Instytutu Historii Uniwersytetu Łódzkiego i kołem naukowym historyków — studentów naszego Uniwersytetu przypomniało PTH na swym zebraniu naukowym jeden z najciekawszych okresów dziejów ojczystych — Polskę Kazimierza Wielkiego. Niedawno — 19 marca br. — została zorganizowana sesja naukowa poświęcona 100-leciu Komuny Paryskiej, w której nawiązano nie tylko do wypadków mających miejsce sto lat temu w Paryżu, ale w dyskusji podjęto wątek jakże bliskich proletariackich tradycji walki — z taką pieczołowitością pielęgnowanych szczególnie przez nurt rewolucyjny polskiego ruchu robotniczego, w tym bardzo aktywnie przez łódzką okręgową organizację KPP.

Łódzki Oddział PTH, mimo znacznych trudności obiektywnych, prowadzi żywą działalność wydawniczą. Za ostatniej kadencji został wydany czternasty numer „Rocznika Łódzkiego", w niedługim czasie na półkach księgarskich ukaże się numer piętnasty, w przygotowaniu jest numer szesnasty. Historycy łódzcy złożyli do druku zbiorową pracę poświęconą pięćdziesięcioleciu istnienia województwa łódzkiego (1919—1969), napisali książkę pt. „60 lat Tomaszowskich Zakładów Włókien Sztucznych", oddali do drukarni materiały sesji naukowej zorganizowanej w Piotrkowie Tryb., a poświęconej ćwierćwieczu władzy ludowej w tym mieście i powiecie. Szereg tematów z przeszłości naszej ziemi zajmuje aktualnie uwagę badaczy i czeka na ukończenie. Działalność wydawnicza łódzkiego Oddziału PTH pozwoliła mu wysunąć się na pierwsze miejsce spośród wszystkich ośrodków Towarzystwa w kraju.

Walne zebranie wybrało nowy zarząd Oddziału. Prezesem została ponownie doc. dr Zofia Libiszowska, wiceprezesami wybrano kierownika Zakładu Historii Najnowszej Polski IH UŁ — doc. dr Barbarę Wachowską i dyrektora Państwowego Archiwum Wojewódzkiego w Łodzi, mgra Mieczysława Kołodziejczaka. Sekretarzem zarządu został ponownie dr Jerzy Włodarczyk. Pracę skarbnika kontynuuje doc. dr Stanisław Zajączkowski.

Ambicją nowego zarządu jest kontynuować tradycje wszystkich najlepszych form pracy badawczej i popularyzatorskiej swych poprzedników.

BAR—WA

POLONICA

O OSSOLINEUM W „STRZESZE"

Ukazujący się w Wiedniu w języku polskim biuletyn Związku Polaków w Austrii zwraca baczną uwagę na wszelkie polskie rocznice. W drugim tegorocznym numerze redakcja biuletynu zamieściła wiersz Józefa Orłowskiego pt. „Zakład Narodowy im. Ossolińskich", odnotowując w ten sposób dwuziestopięciolecie działalności tej zasłużonej placówki we Wrocławiu. Od numeru czwartego biuletyn „Strzechy" zaczął publikować w odcinkach ciekawą rozprawkę, poświęconą fundatorowi Zakładu oraz jego historii. Autorem tej pracy, akcentującej m. in. związki J.M. z Tęczyna Ossolińskiego ze stolicą Austrii, jest Leon Turkiewicz.

Warto w związku z tym przypomnieć, że J. M. Ossoliński był od 1809 r. prefektem Cesarskiej Biblioteki w Wiedniu i wzbogacił te zbiory biblioteczne w liczne polonica. Także w Wiedniu w swoim mieszkaniu przy Mayerhofstrasse rozpoczął kompletowanie księgozbioru, który potem stał się podstawą fundacji lwowskiej. W zbieraniu cennych a zapomnianych książek i rękopisów pomagał S. B. Linde, autor SŁOWNIKA JĘZYKA POLSKIEGO, który przez wiele lat był współpracownikiem Ossolińskiego.

(er)

WIERSZE POETÓW ŁÓDZKICH W ZSRR

Z okazji obchodzonego ostatnio w Związku Radzieckim dnia współpracy obwodów Kraju Rad z województwami w Polsce organ Komitetu Obwodowego KPZR, współpracującej z województwem łódzkim Ziemi Smoleńskiej, „Raboczyj Put" w numerze 14513 opublikował wiersze łódzkich poetów: Władysława Strzeleckiego — „Przedwiośnie" i „Promienie", Igora Sikiryckiego — „Sen kapitana", Tadeusza Chróścielewskiego — „Choinka" i Wasyla Kocznowa — „Oświęcim". Wiersze polskich poetów przełożył na język rosyjski Wasyl Kocznow.

wk.

szliśmy, Brecht i ja. W małej knajpie na bocznej ulicy Brecht rozpoczął ogłoszenie wyroku śmierci. — To nie był Tasso, to była nadmiernie rozpalona lokomotywa. Musi pan otworzyć wszystkie wentyle i wypuścić parę! Nie ładować emocji w postacie, odnamiętnić je, by stanęły intelektualnie obok roli. Nie żebrać o litość dla Tassa... wskazać na niego... oto, taki on jest... by publiczność mogła myślą współdziałać! Ekspresjonistyczna ekstaza ma już wielu na sumieniu. Postać musi być wyobcowana, by stała się wiarygodną!... Pierwszy raz usłyszałem to słowo, które w następnych dziesięcioleciach aż do znudzenia powtarzane było przez wszystkich epigonów. Wyobcować! — Nowa rzeczowość musi zdobyć scenę! — powiedział Brecht i wstał. — Pójdziemy do kina? — zapytał. „Róża traci płatki, nim burza ją złamie" brzmiał tytuł tego filmu — giganta o miłości, namiętności, rezygnacji i śmierci. — Epicki film — rzekł Brecht. — Ta Lilian Gish z twarzą o perwersyjnej niewinności! Ja bym kazał jej grać trucicielki i morderczynie dzieci... Gdy doszliśmy do hotelu „Fuerstenhof", kiwnął tylko głową i znikł.

„Nowa Rzeczowość" Czy zwala się na mnie po siedmiu plagach ekspresjonizmu jakaś nowa ósma? Nowa Rzeczowość! Jeszcze nie miałem o niczym takim bladego pojęcia.

☆ ✲ ☆

Następnego dnia wyciąłem sobie z „Leipziger Volkszeitung" bardzo pouczający dialog Brechta z przyjacielem:

— W twoich sztukach aktorzy odnoszą zawsze wielkie sukcesy. Jesteś zadowolony z nich?

— Nie.

— Dlatego, że źle grają?

— Nie, dlatego, że fałszywie grają.

— A jak powinni grać?

— Wykazując swoją wiedzę.

— O czym?

— O stosunkach międzyludzkich.

— Dobrze, ale w jaki sposób?

— Swiadomie opisując je.

— A teraz jak to robią?

— Za pomocą sugestii. Sami wpadają i wciągają publiczność w trans.

— Proszę o przykład.

— Jeśli mają przedstawić pożegnanie — co robią? Wpadają w nastrój pożegnania i chcą, by publiczność wpadła w nastrój pożegnania.

— Więc aktor nie powinien dążyć do tego, by człowieka, którego gra, czynić zrozumiałym?

— Nie tyle człowieka, ile wydarzenia. Gdy chcę zobaczyć Ryszarda Trzeciego, to nie po to, bym sam czuł się Ryszardem Trzecim, lecz dlatego, by poznać to zjawisko w całej jego obcości i niezrozumiałości.

— Czy więc nie możesz powiedzieć aktorowi, jak ma grać? Nie ma prób w tym kierunku?

— Są. Aktorka grająca służącą w Edypie, ogłaszając śmierć swojej pani, wołała przenikliwym, pozbawionym uczucia głosem: „Umarła! Umarła!" Jej „Jokasta nie żyje!" nie zawierało skargi, tak, że fakt śmierci większe zrobił wrażenie, niż mógł wywrzeć subiektywny ból.

— Odniosła sukces?

— Skromny. Potworne rozstrzygnięcie, które w ten sposób ogłosiła, nie podziałało na tych, którzy widzieli w nim tylko okazję do przeżycia nowych uczuć.

☆ ✲ ☆

Próba generalna, niebywałe podniecenie. Szalony klimat „Baala" wprawił wszystkich w rodzaj upojenia. Rozjuszony Lothar Koerner rzucił swoją rolę na widownię, celując w Brechta i zamknął się w toalecie. Małgorzatę Anton, drżącą i krzyczącą histerycznie, trzeba było znieść ze sceny do garderoby, gdzie straciła przytomność. Brecht siedział niewzruszony w trzecim rzędzie, z mefistofelesowskim błyskiem w oczach.

— Balladę o Baalu mówi pan, jak gdyby pan był o głowę wyższy niż pan faktycznie jest, i przez to staje się pan jeszcze mniejszy... — powiedział Brecht do aktora, któremu powierzono balladę. Skoczył na krzesło. W swojej wytartej kurtce, w wymiętych spodniach, spod których błyszczały buciki, nienagannie wygiansowane przez hotelowego czyścibuta, stanął na krześle, emanując istnie villonowską aurę. Jedną ze swoich wąskich rąk ułożył jak gdyby trzymał gitarę, drugą, z lśniącym na niej niebieskim kamieniem sygnetu, wywoływał niby brzęk strun, i rozpoczął zachrypłym, przenikliwym głosem: — Gdy w białym łonie matki wyrastał Baal...

Entuzjastyczne brawa nagrodziły go, gdy skończył. Usiadł, uśmiechając się płochliwie.

☆ ✲ ☆

8 grudnia 1923 roku premiera „Baala", Lipsk tonął w śniegu, Struny głosowe Koernera, który grał Baala, ogiera, mordercę i kurwiarza, nie wytrzymały orgii ryków, pijaństwa i szaleństw. Koerner oświadczył przed południem, że zupełnie zachrypł. Małgorzata chwiała się na scenie jak umierająca Ofelia. Na domiar złego Brecht — zrównoważony i wesoły — podjął w ostatniej chwili sprawę nowych zmian w tekście. **)

Wreszcie podniosła się kurtyna. Na widowni — Kerr, Ihering, Jessner, Bronnen, cały literacki Berlin. Brawa i okrzyki protestu przerywały grę. Na widowni wrzało jak w piekielnym kotle, a kiedy na scenie zjawił się Brecht, wśród publiczności doszło do rękoczynów. Lipsk przeżył skandal teatralny, jakiego jeszcze nie było.

Gdy przed południem następnego dnia dopytywałem się w hotelu „Fuerstenhof" o Brechta, powiedziano mi, że odjechał przed północą w nieznanym kierunku.

OPR. LE—BE

*) Znakomity komik monachijski.

**) E. Schumacher (W „Die dramatische Versuche Bertolt Brechts 1918—1933", Berlin 1955) utrzymuje, że Brecht napisał „Baala" w ciągu czterech dni na skutek zakładu z przyjacielem. (Przyp. le-be).

RYSZARD HUNGER

RYSUNKI TRELIŃSKIEGO

„Obraz mógłby być dla mnie strukturalną podporą nie pozwalającą popaść w chaos, ale teraz wierzę mocno, że może on zawierać atak na społeczeństwo, a także postawę moralną lub też odpowiadać jakiemuś nowemu spojrzeniu na człowieka w jego aktualnym otoczeniu, przy czym pojawienie się treści mniej hermetycznej nie musi oznaczać regresu lub akceptacji kontaktów literackich czy anegdotycznych"

ANTONIO SAURA

Twórczość Jerzego Trelińskiego przyjmowałem zawsze z pewnym dystansem. Nie znane mi były bliżej powody, dla których artysta wybrał szyfr tak trudny do odczytania.

Oszczędność środków, która z biegiem lat zaczęła stawać się głównym celem poszukiwań, dystans ten powiększyła jeszcze bardziej. Treliński „obwarowując swą twórczość wieloma zastrzeżeniami" stracił kontakt z widzem. Działanie jego przypominało zabawę polegającą na opowiadaniu historyjki, w której wszystkie wyrazy muszą zaczynać się na tę samą literę. W zabawie tej jest jednak sens głębszy, zmusza ona do tworzenia słów nowych. Słowa te stają się czytelne gdy umieścimy je w systemie mającym charakter bardziej uniwersalny.

System taki umożliwiając pewną obiektywizację, pozwala nam odbierać informacje zakodowane w dziele.

Pierwsze próby operowania kodem możemy dostrzec w cyklu poświęconym Ewie Demarczyk. Obrazy te — mające swe odpowiedniki treściowe w poszczególnych piosenkach — łączy wspólna forma kojarząca nam się bardziej z osobą samej artystki i atmosferą wokół niej panującą, niż z różnorakim bogactwem wykonywanych piosenek. Możliwość podwójnego kojarzenia i wzajemnych uzupełnień stała się kluczem do zrozumienia nowo powstałej symboliki. Pełne utożsamienie treści i formy osiąga Treliński w cyklu rysunków zatytułowanych „Retrospekcje szpitalne".

Dzięki ograniczeniom udało się dotrzeć do formy najprostszej nabierającej zarazem charakteru uniwersalnego.

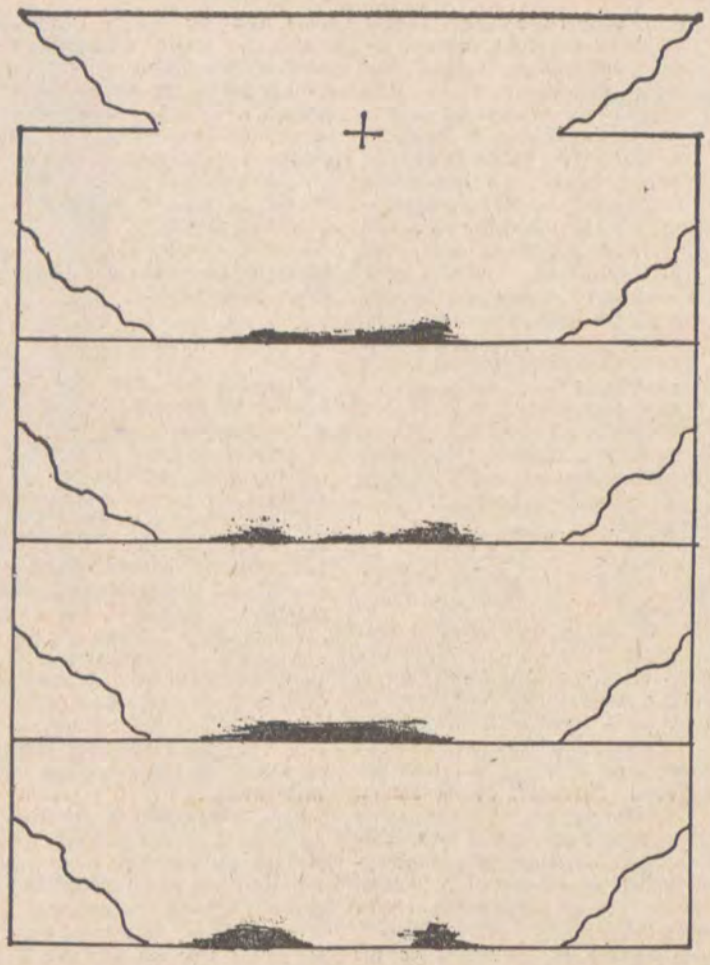

„Dla wszystkich ten sam ogień". Rys. J. Treliński

Precyzyjne czarne kroki, dzielące wielkie, sterylne, białe płaszczyzny realizują w sobie — za pomocą ustanowionej przestrzeni i czasu symboliczną obecność świata. Swiat, w którym człowiek odczuwający słabość swojego ciała jest postacią centralną.

Ten przepojony głębokim humanizmem stosunek do kruchości ludzkiego życia, do niepokojów i lęków związanych z czekającym cierpieniem jest w jego twórczości wartością największą.

O rysunkach tych możemy mówić, że są prawdziwe (powstały w czasie pobytu artysty w szpitalu), każda linia i płaszczyzna ma w sobie cząstkę szpitalnej atmosfery, możemy podziwiać piękno tkwiące w klasycznym porządku konstrukcji, możemy znaleźć wreszcie odpowiedzi na własne pytania stawiane w chwilach krytycznych.

Uodporniony na monotonne i ograne sygnały odbiorca, powinien w tym wypadku zareagować silnie. Przemówiono do niego w sposób nowy, a zarazem bezpośredni. Treliński tworząc swoje rysunki udowodnił raz jeszcze jak wielkie możliwości tkwią w sztuce współczesnej i jak bardzo obecność jej jest nam potrzebna.

*) Jerzy Treliński — Malarstwo, grafika, rysunek. Wystawa w Salonie Sztuki Współczesnej. Łódź — marzec 1971 r.

TP OBIEKTYW

DOBRA LITERATURA I ZŁY SPEKTAKL

Drogę mam utartą. O widowisku „Rafał Olbromski" napisano już sporo krytycznie. Chciałoby się być oryginalnym w sądach, ale w tym przypadku to chyba niemożliwe. Telewizyjne „Popioły" nie niosły z sobą kontrowersyjności, jak to było z filmem Wajdy, ale i nie stały się dobrym przekaźnikiem treści i walorów literackich oryginału.

Jak to zwykle bywa w przypadku adaptacji telewizyjnych, błąd legł u podłoża, to jest przy konstruowaniu scenariusza. Na marginesie należałoby podać w wątpliwość sam dobór repertuarowy Sceny Prozy. Zamiast poszerzać wiedzę o literaturze, wydobywać z zapomnienia wartościowe dzieła, sięga się po pozycje najbardziej znane, często wielokrotnie już adaptowane.

A teraz parę słów o tym, co powinno być wyróżnikiem Sceny Prozy w stosunku do „normalnego" Teatru Telewizji. Wydaje się, że dramatyzacja ma tu spełniać rolę usługową w stosunku do dzieł literackich. Ma je niejako prezentować, referować, korzystając ze środków inscenizacyjnych, ale ich nie nadużywając. Nie trzeba dodawać, że nie można przy tym ograniczać się do warstwy dialogowej powieści.

Dialog powieściowy różni się zdecydowanie od dialogu w utworze dramatycznym. Nie jest samoistny, autonomiczny Nić jego snuje się i urywa, uwikłana w narracyjną obudowę, czerpiąca z niej soki żywotne. Wyciągnąć tę nić z materii literackiej, z którą jest zintegrowana, to pozbawić ją ciągłości i wartości epickich, którymi się karmi. Jest to szczególnie niebezpieczne, gdy epikę powieści z trudem zastąpić można działaniem się na ekranie.

A najwspanialsze obrazy epickie „Popiołów" nie są przecież do pokazania w studyjnym widowisku na małym ekranie. Chociażby bitwa pod Raszynem, czy zdobywanie Saragossy. Przemilczenie przez adaptatora całej epopei hiszpańskiej musi sprawić, że utwór na ekranie jejst okaleczony i odarty z podstawowej wymowy ideowej. To krwawe inferno jest przecież jednym z głównym faktorów przekształcających Rafała Olbromskiego.

Przyjmując zaś imię i nazwisko bohatera za tytuł inscenizacji, Kazimierz Braun sygnalizuje, że chodzi mu o przedstawienie właśnie owej ewolucji Olbromskiego, który z beztroskiego, prostego chłopca z małego dworku rozwija się w postać świadoma dramatu narodowego, wypełnioną goryczą nie spełnionych nadziei, uginającą się pod ciężarem rozczarowań.

„Popioły" są powieścią-rzeką. To z góry narzuca adaptatorowi konieczność drastycznych eliminacji. A przecież nie wydaje mi się, by można było zrezygnować niemal całkowicie z postaci Krzysztofa Cedry, stanowiącej w stosunku do Rafała jakby drugą stronę medalu. Młodziutki Krzysztof, umierający w dalekim iberyjskim szpitalu polowym za cesarza, za spojone w nim nadzieje, jest losami swymi tak splecione z Olbromskim jak Lelum z Polelum.

Koncepcja „Popiołów" Wajdy budziła sprzeciwy. Za daleko poszedł w niej chyba w rozdzieraniu ran narodowych i w krytyce ślepoty politycznej jako rzekomo typowej postawy Polaka w czasie epopei napoleońskiej. Braun nie przeciwstawił temu żadnej właściwie koncepcji. Problem narodowy rozmydlił się w przekazie kolei losów Olbromskiego. Nagość piersi Heleny de Witt weryfikować miała nowoczesne spojrzenie realizatora. Policzek wymierzony Rafałowi przez księżniczkę Gintułtównę urywa — w przeciwieństwie do powieści — ten wątek i czyni go całkowicie zbędnym.

Długo można by mnożyć zarzuty pod adresem adaptatora, który zagubił całkowicie proporcje dzieła, a tym samym nie przeprowadził przekonywająco obrazu przemian wewnętrznych bohatera. Wybór partii powieściowych przekazywanych przez narratora był dziwnie przypadkowy. Olgierd Łukaszewicz, który przebrany w sweter miał jako narrator akcentować dystans współczesnego młodego człowieka do Rafała, nie dysponował przekonywającymi środkami aktorskimi, które zróżnicowałyby dwoisty charakter, w jakim przyszło mu wystąpić w spektaklu.

Jedynie Michał Pawlicki jako książę Gintułt wspomógł po aktorsku reżysera, ale to oczywiście nie mogło uratować spektaklu.

W. O.

O FILMACH DOBRZE I ŹLE

Wieść gminna i reklama

„Wahadło" — amerykański dramat kryminalny G. Schaefera — jest bodaj jednym z największych kasowych sukcesów ostatnich miesięcy. Grany równolegle w dwóch łódzkich kinach ściąga komplety widzów na niemal wszystkie seanse. Okazuje się, iż reklama ustna pozostaje nadal reklamą najlepszą. Plakatom ulicznym, mimo wszystko mało kto wierzy, ocenom krytyki filmowej zaledwie garstka widzów. Wiele filmów wybitnych z góry zostaje skazanych na przegraną.

A tak naprawdę, to co my wiemy o gustach i zamćwieniach naszych widzów poza nader skądinąd wymowną liczbą sprzedanych biletów? Kto w Polsce obecnie bada na przykład siłę reklamy, kto zastanawia się nad jej formą i skutecznością? Zarzucono filmowe badania socjologiczne, a przynajmniej nie publikuje się ich wyników. Reklama to jeszcze biała karta, nie tylko zresztą dystrybucji filmowej.

Sukces „Wahadła" jest tu znamienny. Nie mamy przecież do czynienia z filmem aż tak dobrym, aż tak atrakcyjnym. W ogólnej posusze na dobry film-rozrywkę „wieść gminna" wyręcza jednak dystrybutora. Większa ilość takich atrakcji dałaby szansę również filmom mniej może powszechnie chodliwym, jednak bogatszym w momenty leżące poza sferą atrakcji. To jednak już sprawa repertuaru naszych kin. Powróćmy więc jeszcze do reklamowych funkcji dystrybutora. Wiadomo, iż są filmy, które reklamy nie wymagają. Ich wymiar określa z jednej strony na przykład „Pan Wołodyjowski", z drugiej — „Kleopatra", „Złoto MacKenny", czy „Nieśmiertelni Flip i Flap". Te filmy, ich gatunkowe cechy, tytuły, czy aktorzy ściągną do kina publiczność.

Są jednakże filmy, na które trzeba zwrócić uwagę publiczności. Jeśli nic o nich nie wie, nie przyjdzie do kina. Posłużmy się znów przykładem z ostatnich tygodni. Cichutko, bez reklamy wyświetlano w kinie „Lutnia" radziecki film „Początek" Gleba Panfiłowa. Efekt? Zdjęto go z ekranu po dwóch dniach, dla kina „Lutnia" były to czarne dni — w pierwszym nie było ani jednego widza, w drugim — przyszło czterdziestu. Kto w Łodzi wiedział, iż jest to najgłośniejszy radziecki film 1970 roku, że w plebiscycie i krytyki, i publiczności radzieckiej zajął pierwszą lokatę, że ci, którzy go w Polsce widzieli, przeżyli chwile wielkich wzruszeń. Jasne, że to nie kryminał, nie western, nie „angelica", ale przecież w Polsce sukcesy na przykład takich filmów jak „Lecą żurawie", czy „Dziewięć dni jednego roku" były faktami. Gleb Panfiłow jest również reżyserem filmu „Trzeba przejść i przez ogień" granego u nas w ramach ubiegłorocznych Dni Filmu Radzieckiego, w ankiecie rozpisanej wśród polskich krytyków film ten kilku z nich typowało na najlepszy film wyświetlany na naszych ekranach w roku 1970. To wszystko coś znaczy.

Dochodzimy w naszym kraju do jakiegoś paradoksu — najtrudniej u nas obejrzeć właśnie dobre filmy radzieckie, czeskie, węgierskie. Trudno też obejrzeć ciekawy, ambitny polski dokument. Gdy tak wiele mówimy o polityce kulturalnej, jej echa również odnaleźć winniśmy w tym, co tylko z pozoru z kulturą ma tak mało wspólnego — właśnie w reklamie. Nie jestem specjalistą od niej, tym bardziej więc wierzę, że winni być takowi, rozumnie, sensownie wyważający to, co jest reklamą dla kasy i to, co jest reklamą dla kultury.

Grajmy i reklamujmy to, czego widzowie w kinie szukają: rozrywkę filmową we wszystkich jej gatunkowych odmianach, to przecież istota kina powszechnego, grajmy i reklamujmy również to, co jest sztuką filmową i to, co czyni z kina środek kształtowania postaw ideowych i moralnych, to, co wychowuje. Wiadomo, że ten drugi nurt reklamy jest trudniejszy. W naszym jednakże rozumieniu polityki kulturalnej nie może nie stać się przedmiotem szczególnej uwagi i przemyśleń.

Wciągnijmy również widzów w dyskusję o tym, czym jest i czym winno być kino w życiu współczesnego człowieka. Wydaje się nam, że jeszcze zbyt mało czujemy w naszym mieście działanie kin studyjnych („Stylowy" i „Studio"), choć tak bardzo część naszej publiczności ceni sobie bywanie w nich. Niechaj na przykład taka forma działalności, jaką jest rozpisanie wśród widzów ankiety na temat filmu „Incydent" nie będzie działalnością jednorazową. Niech jej wyniki wraz z komentarzem podane zostaną do publicznej wiadomości. A może premiera „Początku" właśnie w kinie studyjnym byłaby dla niego formą reklamy? Wiadomo, iż istnieje pewien mały, dobry snobizm związany z bywaniem w tym kinie, że jego publiczność może nieść ową „wieść gminną", która w innych okolicznościach rozsławiła „Wahadło".

Gdy jesteśmy dziś przy bardzo lokalnych sprawach, zwróćmy uwagę na jeszcze jeden szczegół. Grano w kinie „Bałtyk" „Oliviera" — jego reklamę zawieszono w podcieniu ulicy Narutowicza, wisi tam do dziś, choć w „Bałtyku" w międzyczasie wyświetlono już cztery inne filmy. Jeśli nawet wiemy, że „Oliviera" grać będzie jeszcze inne kino, do którego trzeba ściągnąć publiczność, można sądzić, że reklama ta spełniła już swe zadanie, że w ogóle „Olivier" pracuje już sam na siebie. Zawieśmy zatem w tym miejscu reklamę innego, filmu, przykładowo (uparłam się dziś na ten film) — „Początku". Dbajmy o te szczegóły, krytyka filmowa rzeczy nie załatwi. Tym razem jednak i ja zabawię się w reklamę. Film „Początek" będzie można obejrzeć w dniach 17—19 maja w kinie „Przedwiośnie". Do dyskusji o sprawach reklamy zachęcam wszystkich zainteresowanych.

EWA NURCZYŃSKA

POLONICA

WARSZAWSKI STS W ZURYCHU

„Neue Züricher Zeitung" z dnia 8 kwietnia br zamieszcza recenzję z występów gościnnych warszawskiego Teatru Satyryków STS na scenie zuryskiego Theater 11. Recenzent omawia najpierw utwór Tadeusza Różewicza „Akt przerywany", z którym Teatr Satyryków przyjechał, a następnie dokonuje oceny spektaklu. W recenzji czytamy m. in.: „Ogólnie rzecz biorąc brakowało inscenizacji owej zabawnej werwy, która istnieje w tekście. W czytaniu Różewicz wydał nam się o wiele bogatszy niż na scenie. Wśród licznych aktorów należy wymienić tylko Jana Stanisławskiego, który w roli Autora łączył pajacowatą nadgorliwość z komicznym patosem i przebiegłą śmiesznością".

A na zakończenie recenzent stwierdza: „Gdy się porówna warszawski Teatr Satyryków STS z podobnymi zespołami, na przykład z Klubem Cinoherny czy z praskim Teatrem Balustrady, widać od razu, że sympatyczni goście z Warszawy znajdują się dopiero na drodze do szczytów satyrycznej sztuki teatralnej".

jk.

NIEMIECKIE CZASOPISMO O WARSZAWIE

Wydawany od 23 lat w Hamburgu miesięcznik „Merian" poświęcił jeden ze swoich ubiegłorocznych numerów w całości Warszawie. Numer ten, który dotarł do naszych rąk dopiero teraz, przedstawia się okazale, żeby nie rzec — wręcz imponująco. Zdobią go liczne i pięknie dobrane ilustracje, kilka barwnych reprodukcji płócien Canaletta, rysunki i karykatury. Wśród autorów piszących o Warszawie — Niemcy i Polacy, m. in. Ludwik Zimmerer, Angela Nacken, Karl Dedecius, Stanisław Lorentz, Stanisław Szenic i Olgierd Budrewicz. W części literackiej utwory Zbigniewa Herberta, Stanisława Dygata i Marka Nowakowskiego. Szkic o pisarzach polskich (zresztą tylko o niektórych) wyszedł spod pióra zasłużonego tłumacza literatury polskiej, laureata nagrody polskiego PEN-klubu, Karla Dedeciusa. Rzecz napisana lekko, dowcipnie, czyta się dobrze i z zainteresowaniem. Nie można jednak zgodzić się z niektórymi uwagami Dedeciusa o Jarosławie Iwaszkiewiczu. Dedecius winien sobie darować uszczypliwości pod adresem tego wybitnego pisarza, który w momentach przełomowych nigdy nie opuszczał kraju, dzieląc ze społeczeństwem polskim dole i niedole, a jego twórczość, stanowiąca świadectwo wszechstronnego talentu, kontynuuje najlepsze tradycje literatury narodowej.

Nasza współczesność literacka wiele zawdzięcza Jarosławowi Iwaszkiewiczowi. Wykazuje on niespożyte siły, jest człowiekiem dialogu, życzliwym dla pisarzy wszystkich pokoleń, jednając sobie swoją postawą wiernych czytelników i przyjaciół.

jk.

Kto, co, kiedy?

relacje

niedyskrecje

MARCEL GROMAIRE

Niedawno zmarł wybitny francuski malarz, grafik i twórca projektów tkanin dekoracyjnych, Marcel Gromaire.

W latach 1950—1962 był profesorem w Państwowej Wyższej Szkole Sztuki Dekoracyjnej. Za swe zasługi i działalność artystyczną otrzymał wiele nagród.

Urodził się w roku 1892 na północy Francji w Noyelles-sur-Sambre. Zainteresowania malarskie zdradza wcześnie, toteż mając 15 lat zwiedza pracownie artystyczne na Montparnasse, tutaj też później uczy się sztuki malowania, by w roku 1919 osiągnąć uznanie i sławę światową.

W ciekawej twórczości Gromaire'a krzyżowały się najrozmaitsze wpływy i kierunki, które potrafił wchłonąć, przetworzyć i wypracować swój własny styl, oryginalny i o niebywałej ekspresji. Kochał i zachwycał się malarstwem flamandzkim, w równym stopniu podziwiał Breughela co Cezanne'a i Seurata, studiował francuski gotyk i malarstwo prymitywne, czerpał z kubizmu, choć bynajmniej mu nie ulegał, w niektórych swych dziełach kierował się ku abstrakcji choć zawsze świadomie się od tego kierunku odżegnywał.

Pierwsza wojna światowa sprawiła głębokie przemiany w jego malarstwie, które staje się odtąd pogłębione, nieraz monumentalne, choć niekoniecznie operujące dużymi płaszczyznami obrazów. Do jego najlepszych, a chyba i najbardziej charakterystycznych dzieł należy „Wojna". Obraz malowany w roku 1925 stwarza niezapomniane wrażenie. Rzadko kiedy i rzadko któremu artyście udało się tak prostymi środkami malarskimi oddać z tak wielką siłą ponury obraz wojny. Rzadko też się zdarza, by to stosunkowo nieduże płótno robiło wrażenie takiej monumentalności. Na pierwszym planie pomieścił artysta dwie posągowe kukły, odczłowieczone bryły kamienne, w których drzemią ślepe siły zniszczenia. Na innych swych obrazach o tematyce wojennej Gromaire przedstawia równie ponury wizerunek wojny — straszliwy bezruch okopów, horyzont unurzany w błocie, ludzkie istoty wyzute z człowieczeństwa.

Gromaire kochał jednak życie i świat. Malował i rysował chętnie wieśniaków pracujących na roli, sceny z życia wsi, miast, przedmieść. Maluje też i rysuje akty. Rysunek nagiej kobiety z roku 1960 ujawnia wielką precyzję ołówka. Te strzeliste linie, konsekwentnie prowadzone, posłuszne koncepcji autora, pnące się w górę niby w budowli gotyckiej przypominają raczej struktury architektoniczne niż obraz kobiecego ciała. Gromaire jest oryginalny, choć się o to nie starał, jest nowoczesny, choć nie zdawał sobie z tego w pełni sprawy — tak go oceniają przyjaciele i krytyka.

Ostatnia retrospektywna wystawa dzieł Marcela Gromaire'a odbyła się w Paryżu w roku 1963. Zdobył nią sobie wtedy pełne uznanie.

Gromaire — „Wojna".

TEATR CIENI Z MALAJZJI

Ostatnio daje w Paryżu swe oryginalne przedstawienia Teatr Cieni, który przyjechał tu z dalekiej Malajzji. Przypomnijmy krótko, że Malajzja jest federacyjną monarchią konstytucyjną w południowo-wschodniej Azji. Jej stolicą jest Kuala Lumpur. Malajzja powstała w roku 1963 z połączenia Federacji Malajskiej, Singapuru, Sarawaku i Borneo Północnego. Należy do Brytyjskiej Wspólnoty Narodów.

Teatr Cieni z Malajzji to płócienny ekran, za którym umieszczone są wycięte ze skóry wizerunki bogów, ludzi, zwierząt, fantastycznych stworów. Te płaskie skórzane figurki podświetlone są lampą. Porusza je z ogromną zręcznością artysta zwany „dalangiem". On to pełni funkcję animatora, narratora, konferansjera. Poruszaniu się skórzanych kukiełek, których cienie widać na ekranie, oprócz słów „dalanga" towarzyszy orkiestra składająca się z siedmiu muzyków uderzających w gong, bębny, cymbały. I oto na ekranie pojawiają się sylwetki bohaterów indyjskiego eposu Ramajany, opiewającego losy księcia Ramy. Utwór powstał między III w. przed n.e. a II w. naszej ery. Cechą charakterystyczną eposu ukazanego przez Teatr Cieni jest przemieszanie się świata bogów, ludzi i fantastycznych stworów, jak ogniste smoki, wielkie dziwne ptaki itp.

KWARTET im. BEETHOVENA

„Wiele lat temu w 1925 roku w Małej Sali Moskiewskiego Konserwatorium odbył się wieczór z udziałem młodych muzyków" — pisze Dmitrij Cyganow, muzyk, profesor, członek Kwartetu im. Beethovena. W owym koncercie wzięli udział m. in. Lew Oborin, Kwartet im. Beethovena i nie znany jeszcze wówczas nikomu młody człowiek z Leningradu. Tym młodzieńcem był Dmitrij Dmitrijewicz Szostakowicz. Takie było pierwsze poznanie się przyszłego wielkiego kompozytora z beethovenowskim Kwartetem. W trzy lata później Szostakowicz przysyła Kwartetowi partyturę swego pierwszego kwartetu smyczkowego. Weszło już potem w tradycję i zwyczaj, że Dmitrij Szostakowicz wszystkie premiery swych utworów kameralnych powierzał wykonaniu Kwartetu im. Beethovena. I tak np. drugi kwartet, który kompozytor napisał w latach wojny, wykonywał zespół im. Beethovena po raz pierwszy w Leningradzie natychmiast po zdjęciu blokady. O nastroju i atmosferze sali mówi prof. D. Cyganow, że może ją jedynie przyrównać do tych jakie panowały podczas pierwszego wykonania Siódmej Symfonii Szostakowicza w Moskwie w czasie wojny. Otóż w trakcie koncertu oznajmiono, że właśnie ogłoszony jest alarm przeciwlotniczy i że wszyscy słuchacze winni opuścić salę. Nikt się jednak nie ruszył. Wszyscy nadal w ogromnym skupieniu słuchali koncertu.

Kwartet im. Beethovena

Kiedyś Cyganow powiedział do Szostakowicza, że podczas następnego koncertu, zespół wykona jego ostatni kwartet. „Jak to ostatni?" — obruszył się kompozytor. „Kiedy napiszę wszystkie, wtedy można będzie mówić o ostatnim". I dodał, że to co będą grali, to jest nowy kwartet. Wszystkich zaś będzie dwadzieścia cztery We wszystkich majorowych i minorowych tonacjach.

Kwartet im. Beethovena przeżył w ciągu swego istnienia dwie ciężkie straty — jeden z muzyków zmarł, innego złożyła ciężka choroba. Zespołowi groziło rozpadnięcie się. Wówczas to Szostakowicz powiedział do Cyganowa: „Wszyscy kiedyś odejdziemy, każdy z nas odejdzie. Ale Kwartet im. Beethovena winien istnieć w ciągu pięćdziesięciu, w ciągu stu lat. I waszym jest obowiązkiem o to się postarać".

„W grudniu zeszłego roku wyszliśmy na estradę by wykonać świeżo napisany przez D. Szostakowicza jego nowy kwartet nr 13..." — kończy D. Cyganow swe wspomnienia zamieszczone w tekstowej części dźwiękowego czasopisma „Krugozor". Zaś w części płytowej możemy wysłuchać fragmentów najnowszego kwartetu nr 13 D. Szostakowicza w wykonaniu smyczkowego Kwartetu im. Beethovena.

Bez strachu

DRZWI

W tej chwili, podobnie jak w chwilach poprzedzających tę chwilę i w chwilach, które po niej nastąpią, miliony ludzi przebywa za drzwiami mieszkań, fabryk, biur, szpitali. Tysiące rąk otwierają i zamykają drzwi, ktoś się uderza o drzwi, ktoś komuś wskazuje drzwi. Każdy człowiek wiele razy w ciągu dnia otwiera i zamyka drzwi, na drzwiach są nakiejone lub przybite kartki: „Proszę zamykać drzwi". A przecież pojęcie i słowo „drzwi" nie zrobiło kariery, nie mówiąc już o takiej jak pojęcie i słowo „lampa". („Lampa" jest w pieśniach, w wierszach, w religii, w filozofii, w polityce, w potocznej, obiegowej przenośni), ale nawet skromniejszej, takiej, jak np. pojęcie i słowo „okno" („okno na świat"). Ta bardzo skromna funkcja pojęcia i słowa „drzwi", skromna niezasłużenie, skromna niesprawiedliwie, tolerowana jest u nas do tego stopnia, że gdy kiedyś ktoś mi powiedział, że nie robi tego i owego, bo to czy owo zamknie przed nim wszystkie drzwi, nie mogłem go zrozumieć, bo nie myślałem, że używa słowa „drzwi" w sensie formalnym, przenośnym, to jest na oznaczenie tego właśnie słowa i długo usiłowałem sobie wyobrazić rozmaite drewniane, ciężkie drzwi, które zamkną się przed biedakiem... Otóż ten stan rzeczy jest niesprawiedliwy (wystarczy porównać ze słowem „dach" — „pod jednym dachem", „pod dachami Paryża", „nie będę z nim pod wspólnym dachem"... itd., itd.), trzeba coś zrobić dla nie tyle popularyzacji, co dla kultury metaforycznego użycia drzwi. Dysproporcje w sposobie używania słów są groźne dla... na pewno dla czegoś ważnego, są groźne. W swych badaniach nad drzwiami wykryłem, że zdradą i pasożytem słowa drzwi jest „brama" („bramy raju" a nie „drzwi raju", „Hannibal pod bramami", a nie „Hannibal pod drzwiami" itd., a właściwie dlaczego?), a oto jeszcze stoi „furta" i „furtka" i „wierzeje". Tak więc to „brama" i „furtka" pozbawiły „drzwi" w dużym stopniu waloru metaforycznego. „Drzwi" zatem mają swą żyjącą ich treścią „bramę" i „furtkę" — „okno" natomiast jest ich pozbawione, bo gdzie jest, jak wygląda i jak brzmi „brama" i „furtka" „okna"? (W tej chwili przyszła mi na myśl jedynie „strzelnica", ale przecież w żadnym wypadku „strzelnica" nie ma się do „okna" tak, jak „brama", czy „furtka" do „drzwi"). A przecież to drzwi, a nie okno zamykamy na cztery spusty, to drzwi są tarczą przed ostrzałem małych, codziennych lęków, to drzwi są najprostszymi ukojeniami i zabezpieczeniem. Przez okno można wejść raczej tylko po drabinie (znowu uprzywilejowany romantyzm okna — przez okno wspina się kochanek, w drzwiach staje... inkasent). Nie będzie sprawiedliwości w świecie słów, jeżeli nie zwrócimy „drzwiom" tego, co im ukradziono. Strzeżmy się słów z wolna pozbawianych treści jak „drzwi", drzwi!

BERNARD SZTAJNERT

OD NIEDZIELI DO NIEDZIELI

SŁOWO O „ARGUMENTACH"

NA TLE PANORAMY PISM — STARY TYTUŁ — NOWE TREŚCI — GODZINA SZCZEROŚCI — ASY REPORTAŻU — 300 ZŁOTYCH ZA EGZEMPLARZ — IDEOLOGIE XX WIEKU — TEN CZEK MA POKRYCIE

Przeglądam z obowiązku — nie pozbawionego zresztą przyjemności — prasę tygodniową, społeczno-kulturalną. „Kulturę" rozpoczynam od strony ostatniej, gdzie coraz rzadziej, niestety, gości Hamilton, ciekawe pozycje znajduję we wrocławskiej „Odrze", wiele satysfakcji daje mi grafika katowickich „Poglądów"... Jest zresztą tych periodyków sporo — „Kontrasty" w Białymstoku", „Opole' w Opolu, „Pomorze' w Bydgoszczy, „Kamena" w Lublinie... Śledzę z zainteresowaniem najżywiej redagowane rubryki pt. „Kolegium redakcyjne", szczególnie w prasie centralnej...

Na tle tej różnorodnej i różnobarwnej panoramy periodyków społeczno-kulturalnych, w ciągu ostatnich miesięcy moją szczególną uwagę zwróciło pismo, które z nudnego biuletynu stało się interesującą, żywą gazetą. Ten atrakcyjny, wartościowy tygodnik nazywa się „Argumenty". Oczywiście na prasowym rynku ten tytuł nie jest żadną nowością. „Argumenty" ukazują się już piętnaście lat, powoli dobijają do siedemsetnego numeru (dawniej były dwutygodnikiem), są więc pismem znanym... To wszystko prawda, ale właśnie ostatnio wyrosło nam ono na pismo żywe, interesujące i — co zawsze jest w cenie — odważne. Ktoś tam kiedyś mówił przy innej okazji, że „odwaga staniała — rozum zdrożał". W „Argumentach" — tych obecnych „Argumentach" — cenią i odwagę i rozum, obie te wartości są tu stawiane wysoko.

Nie mam żadnego prywatnego interesu w wysokiej ocenie „Argumentów", o co mnie może ktoś posądzić. Piszę zresztą te felietony pod pseudonimem, więc względy osobiste odpadają. Myślę jednak, że mam wobec czytelnika tych felietonów obowiązek zwrócenia jego uwagi na wartości i atrakcyjność nowej gazety, ukrytej pod starym tytułem. Zwłaszcza, że łódzkie problemy i zjawiska znajduję na tych łamach — choćby reportaż Edmunda Żurka o morderstwie młodego robotnika, reportaż wstrząsający, penetrujący zło społeczne, ambitny, głęboki... Nikt w Łodzi nie napisał tak poważnie o tej sprawie jak właśnie „Argumenty". Odważny, społeczny reportaż, atakujący jednostkowe historie zjawiska znieczulicy, sobiepaństwa, kacykostwa, biurokracji, tak dotkliwe w całym kraju — to chyba bardzo mocna strona „Argumentów".

Piszą w „Argumentach" m. in. Jerzy Ambroziewicz, Aleksander Rowiński, Stefan Kozicki — tuzy polskiego reportażu. Ale przecież nie tylko. W każdym bodaj numerze znajdujemy „Godzinę szczerości" — reportaże z tego cyklu pisane są nieraz przez młodych, nie znanych jeszcze dziennikarzy. I prawie zawsze jest to dziennikarska „bomba".

To właśnie „Argumenty" publikowały w odcinkach rewelacyjne wspomnienia Tadeusza Szumowskiego, oficera wywiadu polskiej armii na Zachodzie, którego nazwisko nie jest obce nikomu, kto interesował się historią i kulisami drugiej wojny światowej. To właśnie „Argumenty" publikują ciekawe wspomnienia Jana Drohojowskiego, który jest żywą historią polskiej dyplomacji na przestrzeni prawie półwiecza.

Albo choćby cykl „Ideologie XX wieku". Aż się prosi zebranie tych publikacji w osobną książkę — kompendium wiedzy o tendencjach filozoficznych i politycznych czasu, w którym żyjemy. Znam ludzi, którzy poszczególne pozycje tego cyklu kompletują sobie w specjalnych teczkach, są to bowiem publikacje, do których warto wracać, które są pomocne i w pracy nauczyciela i działacza i publicysty. Sam zresztą — jako zwolennik pamiętników z okresu ostatniego półwiecza — założyłem sobie teczkę ze wspomnienia mi Tadeusza Szumowskiego nie czekając na książkę, która przecież — mam nadzieję — kiedyś się ukaże.

— Słowem — za szarą winietą i starym tytułem odnajdujemy w tygodniku „Argumenty" treści niebanalne i wcale nie szare, formę atrakcyjną i nową. Dlatego właśnie uważam, że warto zwrócić uwagę czytelnika prasy na pismo, które w krótkim czasie potrafiło zdystansować uznane tygodniki, zażywające sławy ustalonej przed laty, a na którą dziś już często nie ma pokrycia.

Czek wypisany w tym felietonie na konto „Argumentów" ma pokrycie w każdym numerze tygodnika. Łatwo to sprawdzić, do czego gorąco wszystkich zachęcam.

JERZY WIDOK

JONATHAN CRAIG

KUSICIELKA

Pokój na pierwszym piętrze domu był obszerny i czysty. Dziewczyna leżała naga w poprzek łóżka, pod lewą piersią czerniło się śmiertelne ukłucie. Ładna, rudowłosa, dobrze zbudowana, mogła mieć około dwudziestu lat.

W pokoju krzątali się agenci z policji, fotografując ciało i zdejmując odciski palców na meblach i drzwiach.

— Zmarła przed dwiema godzinami — oświadczył lekarz. — Między godziną 4.30 a 5.30 nad ranem.

Zapisałem to w notesie i kazałem posługaczom zabrać zwłoki do prosektorium. Następnie zszedłem na parter, gdzie mieszkała właścicielka domu, pani Hason.

— A więc dziewczyna nazywa się Maria Donnelly — kontynuowałem rozmowę. — Znalazła ją pani o godzinie 6.

— Tak. Nastawiam zawsze budzik na 5.50. Budziłam ją każdego rana, pracowała od 7 w restauracji. To była kochana dziewczyna, bardzo miła dla każdego. Także i dziś o 6 zapukałam lekko do drzwi, nikt się nie odezwał. Zauważyłam, że drzwi były uchylone, zajrzałam do środka... i pobiegłam do telefonu.

Pani Hason opowiadała spokojnie i chłodno. Obserwowałem ją i zadawałem sobie pytanie, w jakim stopniu ten chłód zasługiwał na wiarę.

— Czy pani słyszała jakieś podejrzane głosy nad ranem?

— Nie, śpię zwykle twardo.

— Co pani uczyniła po wezwaniu policji?

— Obudziłam wszystkich lokatorów mojego domu. Obecnie są tu cztery osoby. Na pierwszym piętrze od podwórza mieszka panna Grant, na drugim — państwo Hoffman i od podwórza pan Ramey.

— Czy zmarła spotykała się z kimś? Taka ładna dziewczyna musiała mieć licznych wielbicieli.

— Nie miała żadnych. Przed miesiącem pokłóciła się ze swym chłopcem i zerwała z nim. Nazywa się Miller, pracuje w garażu za rogiem następnej ulicy.

— Czy przychodził do niej?

— Ależ skądi — krzyknęła wojowniczo gospodyni. — Nie zezwalam moim lokatorom na przyjmowanie gości odmiennej płci. Brama zawsze zamknięta, a okna na parterze są okratowane.

— Dziękuję pani, teraz pójdę porozmawiać z lokatorami.

Zapukałem do drzwi na pierwszym piętrze, gdzie mieszkała panna Grant. Otworzyła mi jasna blondynka około trzydziestu lat, wysoka i ładna. Twarz jej przybrała wyraz wrogości, gdy mnie zobaczyła.

— Nazywam się Manning, jestem z policji.

— I to dziś musiało się zdarzyć! — krzyknęła.

— O co pani chodzi?

— Właśnie wychodziłam, żeby przedstawić się w miejscu mojej nowej pracy. A teraz przyjmą kogoś innego! Do diabła!

Usiadłem w fotelu i wyjąłem notes. — Czy pani znała dobrze Marię Donnelly?

— Nie znam jej, nawet nie wiedziałam, jak się nazywa.

— Kiedy pani wróciła wczoraj wieczorem?

Oczy koloru bursztynu rzuciły mi wściekłe spojrzenie. — Wróciłam o północy, odprowadził mnie narzeczony i pożegnał się przed bramą domu.

— Czy pani nie zauważyła, że ktoś z mężczyzn, którzy mieszkają w tym domu, okazywał zmarłej jakieś zainteresowanie?

— Mężczyźni?! — panna Grant roześmiała się. — Nie mamy tu prawdziwych mężczyzn. Jest tylko pan Hoffman i Ramey. Hoffman ma osiemdziesiąt lat i ledwo powłóczy nogami. A Ramey? Ten typek gotów jest biec jak szalony, gdyby się do niego uśmiechnęła jakaś kobieta.

Wstałem.

— A teraz proszę, aby pani nie wychodziła z pokoju. Może pani zatelefonować do swego szefa.

Wszedłem na drugie piętro i zapukałem do mieszkania Rameya. Otworzył mi mały człowieczek około czterdziestoletni, z twarzą długą i chudą.

Usiadłem na brzegu łóżka. Na kołdrze leżała Biblia i mnóstwo broszurek. Na ścianach były zawieszone kolorowe obrazki treści religijnej, największy wisiał na drzwiach stale zamkniętych, dzielących pokój Rameya od przyległego pomieszczenia. Ramey sprzedawał egzemplarze Biblii i broszury, pochwalił się, że sam napisał i opublikował 800 artykułów „umoralniających zepsutą ludzkość". Opowiadał to wszystko tonem surowym i ostrożnie dobranymi słowami. Stwierdził także, iż nigdy nie widział zamordowanej Marii. Wrócił w nocy o godzinie 23, poczytał Biblię i usnął. — Jestem w Nowym Jorku dopiero od miesiąca — dodał. — Jest wiele do zrobienia w tym niegodziwym mieście i nie można ustawać w walce ze złem.

Opuściłem pokój Rameya i przeszedłszy obok łazienki, wspólnej dla obu pięter, zapukałem do drzwi Hoffmanów.

Pani leżała w łóżku chora, nie odpowiadała na pytania, nie mogłem z nią rozmawiać. Hoffman zaprosił mnie do saloniku. Szedł kulejąc, lecz jakaś duma nie pozwalała mu na posługiwanie się laską. Gdy usiedliśmy, przez dłuższy czas obserwował mnie z uwagą.

— Czy pan coś słyszał lub widział, co mogło wydać się panu niezwykłe wczoraj wieczorem? — zapytałem.

— Nic nie słyszałem. — Mówił powoli i niechętnie udzielał informacji.

— Czy pan znał Marię Donnelly?

— Czasem zamieniałem z nią kilka słów, lecz nie była serdeczna dla mnie, wie pan, jaka jest teraz młodzież.

— Czy nie widział pan, żeby jakiś mężczyzna przebywał w jej pokoju? Może rozmawiała z mężczyzną telefonicznie?

Wyciągnął się w fotelu i przygląda mi się spod przymkniętych powiek. — Nie! — odpowiedział wreszcie. — Nic nie wiem na ten temat...

Pojechałem do garażu aby porozmawiać z Millerem. Był to młodzieniec o przyjemnym wyglądzie. Pokazałem mu legitymację. Przeraził się. — Co się stało? — zapytał.

— Chciałbym porozmawiać z panem o Marii Donnelly. Proszę powiedzieć, kiedy pan ją ostatni raz widział?

— Chyba tydzień temu, lecz nie chciała ze mną rozmawiać. Kręcę się często w okolicy jej domu, żeby ją zobaczyć.

— Dlaczego rozeszliście się?

— Myślę, że jej się znudziłem.

— Może ma innego mężczyznę?

— A bo ja wiem! Myślałem dziś rano, że ją przyłapałem, ale...

— Dziś rano? O której godzinie?

— Około piątej. Nie mogłem spać i postanowiłem przejść się trochę. Gdy znalazłem się w pobliżu domu Marii, zauważyłem na schodkach przed wejściem całującą się parę. Ale to była jakaś blondynka, włosy Marii są rude.

— Niech mi pan powie, czy coś się stało? — zapytał.

— Pytania ja zadaję, a nie pan. Na dziś wystarczy, może jeszcze porozmawiamy.

Wracając wstąpiłem znów do panny Grant. Nie była z tego zadowolona. — A więc? — zapytała.

— Z poprzedniej relacji wynikało, że pani wróciła o północy i potem już została w domu. A co było o 5 rano?

— Do diabła, że też wszystko mnie się musi przydarzyć. Tak, wyszłam jeszcze, lecz niech to pozostanie między nami. Ten człowiek, który był ze mną przed domem, to znajomy z baru, mój narzeczony nie może się o tym dowiedzieć!

— Jak długo byliście razem?

— Prawie dwie godziny, od 4 do 6. Poszliśmy najpierw do pobliskiego baru, a po zamknięciu lokalu wróciliśmy tutaj.

— Czy ktoś w tym czasie wychodził z domu?

— Nie widziałam nikogo.

— Jak się nazywa ten znajomy i gdzie go mogę spotkać?

— Nazywa się Bill, pracuje w barze naprzeciwko...

Udałem się do baru i rozmawiałem z Billem. Potwierdził wszystko, co mówiła panna Grant.

Potem zadzwoniłem do lekarza, który przeprowadzał sekcję zwłok. — Posunęliśmy się naprzód — oznajmił lekarz. — Sądząc z charakteru rany przypuszczamy, że narzędziem zbrodni był jakiś świder. W ranie znaleźliśmy także kuleczkę cementu.

Podziękowałem lekarzowi i poszedłem odwiedzić właścicielkę domu. Zdziwiła się, słysząc o świdrze i oświadczyła, że takich narzędzi nie posiadają jej lokatorzy, a wszelkie naprawy przeprowadza Frank, który od trzech dni reperuje łazienkę na drugim piętrze...

Zobaczyłem się z Frankiem. Był to wysoki młodzieniec o ponurej twarzy, zalatywało od niego alkoholem. Przyjrzałem się jego narzędziom, a następnie poprosiłem Franka, żeby skontrolował, czy mu czegoś nie brakuje. Niedługo odkrył, że brak mu świderka, którego nie używał od dwóch tygodni. Odpowiadając na moje pytania wyjaśnił, że ostatnią noc spędził na pijaństwie z kolegami we własnym mieszkaniu...

Skontrolowałem przyjaciół, którzy potwierdzili słowa hydraulika i gotowi byli przysiąc, że Frank nie opuścił mieszkania aż do 8 rano.

Wróciłem na miejsce zbrodni i wszedłem na drugie piętro, aby zbadać łazienkę. W kątach i w skrzynkach ani śladu świderka. Obejrzałem jeszcze ściany i drzwi, szukając szpar. Znalazłem ją szybko. Otwór był wyborowany w cemencie, którym zatkano dziurkę od klucza w drzwiach łączących łazienkę z pokojem Rameya.

Zapukałem do drzwi Rameya, lecz nikt się nie odezwał. — Proszę otworzyć! — krzyknąłem. Żadnej odpowiedzi. Pociągnąłem za klamkę, drzwi były zamknięte.

Zszedłem do gospodyni po klucz. Nagle usłyszałem krzyk na pierwszym piętrze. Panna Grant stała na progu swego pokoju i wskazując ręką otwarte drzwi wyjąkała: — Na podwórku...

Rzuciłem się do jej pokoju, żeby wyjrzeć oknem. Ramey leżał na bruku w pozycji groteskowej, z ust i nosa płynęła mu krew.

Ocknął się po dwóch godzinach w szpitalu. Wiedział, że jest już skazany i chciał złożyć zeznanie przed śmiercią.

— Sznur się urwał i spadłem z pierwszego piętra — rzekł słabym głosem.

— Dlaczego pan zabił tę dziewczynę?

Ramey uśmiechnął się.

— Zabiłem, ponieważ była kusicielką, narzędziem diabła, który ją nasłał, aby mnie prześladowały złe myśli. Należało ją ukarać... żeby nie kusiła innych mężczyzn.

— Mówił mi pan, że jej nie widział nigdy — wtrąciłem.

— Widziałem ją wiele razy. Coś mi nakazało, żeby zrobić otwór w drzwiach i oglądać ją w łazience. Gdy zobaczyłem skrzynkę z narzędziami, czułem, że to przeznaczenie i zabrałem świderek. Słyszałem jak weszła do łazienki, szedłem za nią po schodach. Drzwi do jej pokoju były lekko uchylone, przeznaczenie ułatwiło mi zadanie...

— Co pan zrobił ze świderkiem?

— Rzuciłem go na dach domu — odpowiedział Ramey i zamknął oczy.

Zostawiłem w pokoju mego pomocnika a sam udałem się do telefonu, aby opowiedzieć szefowi co zaszło. Gdy wróciłem, agent stał przy łóżku i kiwał powoli głową.

— Czy znów zemdlał? — zapytałem.

— Nie żyje — odpowiedział.

A. S.

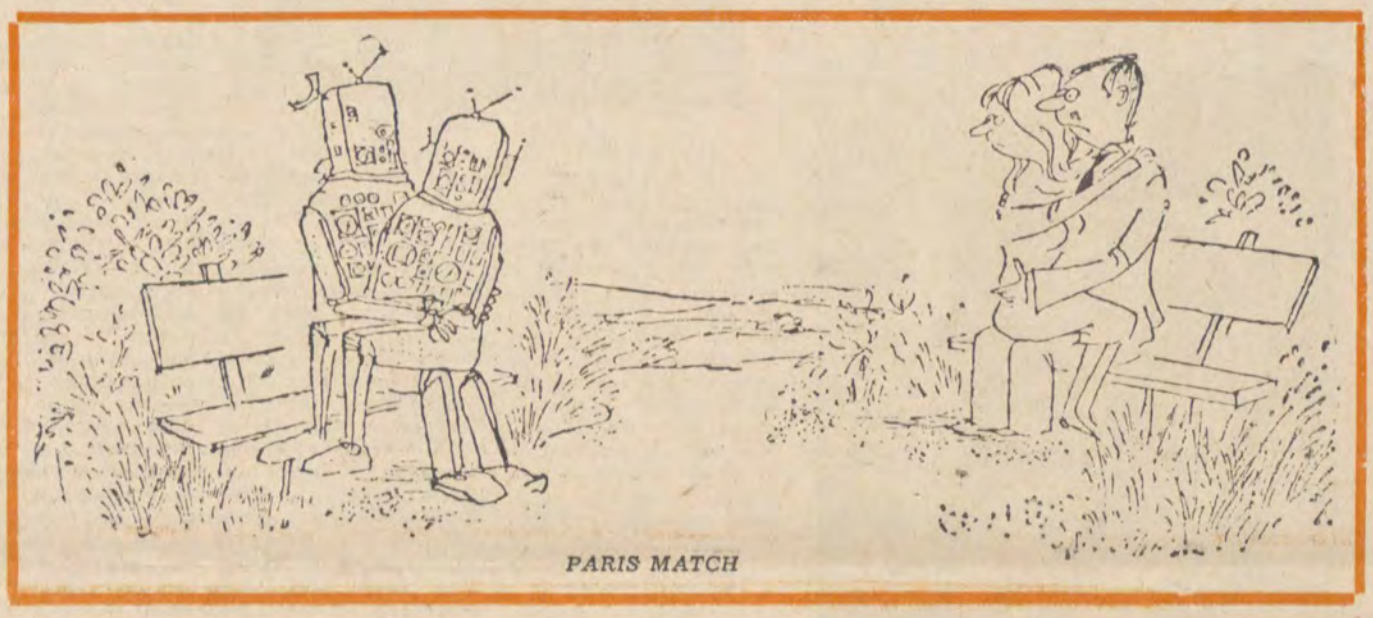

PARIS MATCH

Lewym okiem

ZANIEDBANE DOTĄD MIASTO...

Krótką, jednozdaniową notatką zawiadomiła „Polityka" swoich czytelników, że Łódź odwiedzili architekci z Wrocławia i Krakowa, którzy pomogą zaplanować rekonstrukcję tego „zaniedbanego dotąd miasta". Zaniedbane było dopóty, póki nie zainteresowały się nim w przerwie między ważniejszymi zajęciami Kraków i Wrocław, a ściślej — tamtejsi architekci. Ale teraz już nas odwiedzili i będzie ślicznie.

To tylko taka sobie kostyczna dygresja, bo przecież współpraca specjalistów ze wszystkich miast — we wszystkich miastach jest nieunikniona, pożądana i konieczna. Ale zatrzymajmy się chwilę nad rekonstrukcją miasta i nad dziwnością natury ludzkiej.

Był czas, gdy Warszawskie Towarzystwo Cyklistów urządzało sobie tor kolarski na Dynasach, na zadrzewionej skarpie. Wiele wtedy było protestów, bo okazało się, że co sięgnęli łopatą — wykopywali ludzkie kości. To był teren cmentarza.

Piękne pawilony międzynarodowych targów w Poznaniu też urządzono częściowo na terenie byłego cmentarza, przy głośnym chórze protestów. Dziś znów słyszy się protesty przy zabudowie Dynasów, jutro znajdą się gorący obrońcy zachowania status quo w Poznaniu.

Na podwarszawskim Annopolu wzniesiono w okresie największego kryzysu murowane baraki, w których osiedlano bezdomnych z całej stolicy. Zagęszczenie w tym osiedlu było niewiarygodne. Baraki te zamieszkałe są do dziś, a ich lokatorzy bronią się rękami i nogami przed przekwaterowaniem. Podobnie jest w Jelonkach, gdzie kiedyś postawiono prowizoryczne baraki dla robotników, budujących Pałac Kultury. Robotnicy skończyli chwalebnie pracę, wyjechali, postarzeli się mocno, a wprowadzeni po nich lokatorzy nie myślą traktować swych mieszkań jako tymczasowe.

Przywiązanie do zastanego świata, do murów i do rzeczy, które oglądało się i dotykało przez dziesiątki lat, jest niezmierną siłą. Jest często siłą bezwładności, której opór trzeba przełamywać nie bez trudu. Jest też nieraz siłą, ocalającą od zagłady cenne przekazy tradycji, kultury, historii. Znalezienie słusznej drogi pomiędzy miłością do tego co było i jest a dążeniem do nieustannego ulepszania (rekonstrukcji) świata — otóż i największa sztuka rządzenia.

Czy bronić przed zagładą ostatnie drewniane chałupy tkaczy na Piotrkowskiej i na Wólczańskiej? Są niewątpliwym zabytkiem i po ich zniknięciu nikt już nie wyobrazi sobie wyglądu „najdłuższej ulicy w Polsce" sprzed kilkudziesięciu zaledwie lat. Są stare. Powstawały przed wiekiem, może i dawniej. Ale bronić ich nie będziemy, muszą ustąpić przed potrzebami nowoczesnego miasta. Mimo protestów i rezolucji, wyburza się secesyjne kamienice na Zachodniej, żeby przewietrzyć trochę tę część śródmieścia, umożliwić wreszcie normalną, bezpieczną komunikację. Takie same — ani lepsze, ani gorsze — kamienice, może nawet mniej ciekawe architektonicznie, stoją na placu Wolności. Jest wśród nich stary ratusz i nowszy od niego kościół. Poza tym ohydny winkiel przy ulicy Obrońców Stalingradu, z koszmarną ślepą ścianą równie koszmarnej czynszówy, stary dom z apteką i kilka razy już przebudowywany dom z restauracją o zagadkowej nazwie „Sim". I jeszcze fragment pomiędzy Nowomiejską a Nowotki, dość ciekawy, choć zakończony ni z tego ni z owego rzędem na pół rozwalonych kolumn, nie podpierających niczego.

Nie mam zdecydowanego stosunku do całej tej zabudowy, myślę, że jej wartość architektoniczna, historyczna, zabytkowa — jest niewielka, jeśli się jej nie podeprze sentymentem i respektem przed starością. Szanuję jednak wielką siłę przekonania i mnóstwo dobrej woli grona ludzi (jest takie i działa energicznie), którzy skrzyknęli się właśnie po to, aby bronić placu Wolności przed rekonstrukcją. Nie wiem, czy mają rację. Zgadzam się natomiast z nimi, że obstawienie placu prefabrykowanymi klockami, absolutnie jednakowymi gdzie byś nie spojrzał, wieżowcami z rzędem loggii na każdym piętrze, zamkniętymi od frontu przed całym światem — nie upiększyłoby placu, a powtórzyłoby jeszcze raz tysiąc takich samych placów z różnych miast całego świata. Więc rekonstruować, czy nie?

Owszem, ale bardzo delikatnie, mądrze i czule. Na szczęście fachowcy z Krakowa pomogą. Oni się znają na starych miastach.

ĆWIEK

Redaguje zespół: Jan Koprowski (redaktor naczelny), Karol Badziak (dział terenowy), Konrad Frejdlich (dział publicystyki), Roman Łoboda (kier. działu literackiego), Andrzej Makowiecki (dział reportażu), Celina Paluch (redaktor techniczny) Włodzimierz Stokowski (zastępca redaktora naczelnego), Jerzy Wilmański (dział kulturalny), Teresa Wojciechowska (sekretarz redakcji). Wydawca — Łódzkie Wydawnictwo Prasowe RSW „Prasa" w Łodzi. Adres redakcji: Łódź, ul. Piotrkowska 96. Telefony: 244-79, 217-98 oraz 293-00 wewn. 29, 39, 40, 41 i 42. Warunki prenumeraty: miesięcznie 6,50 zł, kwart. 19,50 zł. Redakcja nie zamówionych rękopisów nie zwraca. Prenumeratę przyjmują wszystkie placówki pocztowe listonosze oraz PUPiK „Ruch" — z zaznaczeniem na „Odgłosy" Druk Prasowe Zakłady Graficzne RSW „Prasa" Łódź ul. Żwirki 17 Zam. 953. S.5.